



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

A więc przy tym Nowym Roku...

Takby przynajmniej nam rozpocząć należało opóźnioną Pogadankę, ale może lepiej nie powiedzieć nic i na wzór owych „pieśni bez słów“ rozpocząć rok nowy wymownym milczeniem, którego znaczenie niech sobie „czuły słuchacz w swej duszy dośpiewa,“ — jeżeli zechce i potrafi.

Tylko, że znowuż sytuacja kronikarza w takich świątecznych chwilach bywa podobną do sceny Lira z córkami i kto wie, czybysmy razem z Kordelem jednak nie wyszli na tem, wyznawszy w szczerzej prostocie i otwartości, że nie mamy nic do powiedzenia!

— Z niczego może być — nie! — gotów nam odpowiedzieć Czytelnik, czekający w swoim fotelu na piękną gratulacyą, któraby zawarła w sobie zapewnienia i objawy tych uczuć, jakich ma prawo po życzliwym piśmie i znajomym od lat czterech tegoż pisma urzędowym gawędziarzu wymagać... Więc, aby pogodzić dwie ostateczności, kilka słów poświęcimy według starego zwyczaju życzeniom.

Przedewszystkiem życzymy Wam przy Nowym Roku sił do udźwignięcia tych ciężarów, których rok zeszły z bark Waszych nie zdjął, a rok nowy przysporzył gotów; ale sama siła jeszcze wszystkiego nie stanowi, — więc i dobrego jej pocucia i użytkowania umiejętnego życzyć Wam wypada.

Powiedział niegdyś nasz wieszcz nieśmiertelny: „Mierz siłę na zamiary, nie zamiar według sił“!... Doświadczenia, twardy trud życia i zawody liczne, przekonały nas po długich latach prób, że tego wykrzyknika poety natchnionego nie można brać za dewizę w życiu praktycznym; że spokojny rozmyśl zając winien miejsce gorącego, choć szla-

chetnego entuzjazmu; że, aby nie targać sił w zbyt wielkich i trudnych zamiarach, należy, nie wyrzekając się wielkich zadań, rozłożyć je umiejętnie na mniejsze i te dopiero wedle możliwości rozwiązywać, oile siły starczą.

Więc zmysłu do takiej rozłożonej pracy „z niczego powoli,“ więc zrozumienia jej wartości, więc wytrwałej chęci w spełnianiu tych ograniczonych obowiązków w zakresie prywatnym i publicznym, lecz „ramię przy ramieniu,“ siłami wspólnymi — życzymy sobie nawzajem wszysey, bez wyjątku.

Ale siła, zamiar i praca bez dobrej woli i bez dobrej wiary w zasłużone powodzenie — często idą namarnie.

Niechże i tej dobrej woli i wiary nie brakuje, niech nas krzepi nadzieja, że gdy każdy „zrobi, co trzeba, to będzie, co musi“!...

Otóż takimi życzeniami dla Was i dla siebie rozpoczynamy Nowy rok pracy. Da Bóg, że z jego pomocą spełnią się one przynajmniej w większej części, a wtedy nie nowego roku, ale minionego będziemy sobie mogli powinszować.

* * *

Z konieczności niejako pierwsza Pogawędka w niniejszym numerze musi być trochę podobną do mowy pogrzebowej, którą się wygłasza między grobem a kołyską, między nieboszczykiem 1880-ym a nowo-narodzonym 1881-szym.

Nie podobna zapomnieć zupełnie o tym kalendarzowym potentacie, który o północy po św. Sylwestrze złamał swoje berło i przeszedł... do historii.

Nie mamy wcale ochoty robić z nim obrachunku i ze statystycznymi wykazami w ręku odprawiać sądów, układać bilansu i wyrokować oile zasłużył na wdzięczną, czy nieprzychylną pamięć u współczesności.

Wyberzemy tylko z jego kroniki kilka ważniej-

szych faktów, których nie wolno nam w sprawozdaniu ze społecznego, towarzyskiego, umysłowego ruchu Warszawy pominąć. Wspomnieć musimy jeszcze, choćby pobieżnie, o tem i o owem, co nastręczy nam może z zeszłorocznych doświadczeń niejedną uwagę i wskazówkę na przyszłość.

Zaczynamy od Bazaru, co rok urządzanego pod koniec Adwentu w Salach Redutowych na korzyść Towarzystwa Dobroczynności. Był czas, kiedy Bazar opłacał się sownie i jako środek filantropijny, godziwy, praktyczny, przynosił spory dochód; ale od dwóch, trzech lat jakoś zaczyna krewić. Powstają przeciw niemu szmery niezadowolonia, głosy krytyki, nazywające go „delikatnem zdzierstwem i wyzyskiwaniem stosunków prywatnych,“ a co najważniejsza, publiczność zaczyna się od niego odwracać.

W tym roku przeszło pół siódma tysiąca osób przewinęło się tylko w ciągu czterech dni przez sale bazarowe, mimo to, że sklepy były urządzone, jak zwykle, z gustem i wystawą, że piękne panie i panieta odgrywały w nich z wielką gracyą i uprzejmością role kupcowych, że ceny były przystępne a towary zachęcające. Cóż z tego wszystkiego... kiedy rezultat najważniejszy, dochód materialny, nie dopisał!

Nic dziwnego: każdy zwiedzający Bazar nie szedł tam dla przyjemności, dla zabawy, dla interesu, ale poprostu dla uczynienia zadość stosunkom.

Towarzystwo, znajomości nakładają pewne zobowiązania w pewnych wypadkach, zobowiązania często nader przykre i uciążliwe, i to zazwyczaj dla mężczyzn większe, niż dla kobiet.

Ci biedni mężczyźni, ci królowie stworzenia, muszą często dla konwenansu unosić się królewską wspaniałomyślnością, pokrólewsku szafować groszem, królewską mieć pobłażliwość dla przeróżnych nadużyć, których sami padają ofiarą. I tak np. co do Bazaru: przypadek zdarza, że pani F., u której się było na kilku tańczących wieczorach, albo panna

Y, z którą się przyjmowało udział w amatorskim teatrze, na skutek zaproszenia komitetu bazarowego podejmują się filantropijnej roli eleganckich, w dobrym tonie kupcowych.

Jakżeż tu nie pójść na Bazar, jakżeż ominąć sklep bez narażenia sobie pani X., lub panny Y., które czułyby śmiertelną urazę do swego nieszczęsnego ignorantą, co może wytancowywać się na balikach, grywać role amantów w domowych teatrach, a nie umie się domyślić, że trzeba *à tout prix* być filantropem, kiedy jego znajome chcą mu do tego — nie zbyt tanim kosztem dopomóc!

Więc drażliwszej ambicji i większego serca człowiek towarzyski idzie, jak na stracenie, do owych sal redutowych, prosząc Boga, aby go dla dziewięciu dziesiątych znajomych kupcowych przez filantropią zrobił, jak owego czarownika z bajki, niewidzialnym; przepłaca w trójnasób graciek zupełnie mu niepotrzebny, albo w dziesięćkroć czerstwe ciastko, pokropione sodową wodą, i z kwaśną miną wymyka się z Bazaru.

Najwięcej wszelako bywa ignorantów, powiadających sobie:

— Pal licha, — przestanę bywać na rautach u państwa G. a na Bazar nie pójde i obdzierać się nie dam.

Co prawda, nie winny temu piękne i uczynne kupcowe, którym zapewne wiele zależy na tem, aby jaknajwięcej utargować, bo to stanowi swego rodzaju *point d'honneur* ich filantropijnej... próżności, ale winna sama zasada, i urządzenie, i tradycja wreszcie Bazaru.

Przychylamy się też na stronę tych niezadowolonych, którzy wołają o reformy, którzy chcą, aby przyszły dochód Bazaru nie był oparty na wyzyskiwaniu stosunków, stosunków i słabostek, ale aby nie krępował nikogo, przynęcił większe tłumy ciekawych i kupujących, przyniósł pożytek i Towarzystwu Dobroczynności, i publiczności, i sprzedającym: słowem, aby miał charakter i cel praktyczniejszy.

Dzisiaj Bazar jest kosztownym zwyczajem, bo nawet nie rozrywką i przyjemnością; zaczyna nam powoli ciążyć, a jak wiadomo, lubimy zrzucać wszystko, co nas zanadto przygniata: zrzucić też gotowiśmy z programu dobroczynności publicznej Bazar, a wówczas biedni stracą znowu ze swego funduszu zapomogowego kilka tysięcy rubli.

Warszawa miewa swoje kaprysy; niegdyś na przykład zajmowała się gorąco Teatrzykiem przy Przedmieściu-Krakowskim pod pięknym godłem: *Res sacra miser!*... Amatorowie i amatorki na malutkiej scenie filantropijnej zbierali huczne oklaski; w kassie zbierano tężowe sturubłówki na biednych, i było *utile dulci* przez lat kilkanaście. Nagle, jak ręką odjął, — publiczność zubożała dla teatru, dla gry amatorów, dla celu filantropijnego, przestała rozkupywać bilety na widowiska, przestała nawet... klaskać tak gorąco, jak dawniej, mimo to, że na ziemi pozornie nic się nie zmieniło, a jeżeli zmieniło, to na lepsze pod względem repertoaru, gry i urządzenia wewnętrznego.

Dzisiaj komitet teatralny przemysłowa nad tem: czy nie dobrzeby było zawiesić zupełnie przedstawienia na jaki rok, albo dwa lata? może się gust publiczności wróci i sympatyje dla scenki dobroczynnej odżywią.

Czasem, co prawda, w małej sali Teatru Dobroczynności, zdarza się tłok, miejsca zapełnia publiczność; ale wtedy nie popisują się amatorowie ze swoim talentem, tylko jakiś wędrowny kuglarz pokazuje odwieczne sztuczki białej i czarnej magii....

Charakterystyczne to wskazówki: czem najłatwiej zwabić i skusić się daje nasza publiczność. Na koncertach rodzimych kompozytorów i artystów bywają pustki; na popisach piszczałkowych wirtuozów *à la Nagy* docisnąć się do miejsca niepodobna. Na przedstawieniu oryginalnego dramatu można widzów policzyć palcem; na farsach i najlichszych komediach, lub na produkcjach włoskich kogutów z przedetem gardłem — pełno!... A nie można przecież powiedzieć, aby ta publiczność nie miała swej estetycznej miary i instynktów; czasami zdobywa się nawet na objawy energicznej protestacji i wychodzi z teatru z oburzeniem, gdy nieopatrzna Dyrekcyja wpuści na scenę, na której popisowały się pierwszorzędnego

talenta polskie, jakąś zagadkową hrabinę Schmettow, kwalifikującą się na wabika do budy jarmarcznej, ale nie na estradę koncertową.

Nie bierzmy jej też za złe, gdy w ciągu jednego dnia rozkupyje wszystkie bilety na koncert takiego Sarasatego, byle tylko nie „świeciła nieobecnością“, gdy który z nowych skrzypków lub pianistów, choćby z mniejszym talentem i rozgłosem, wstępuje na estradę.

Sarasate, właściwie „Kawaler Pablo de Sarasate, — dyabeł ze skrzypkami,“ jak go od pewnego czasu nazywają, zasłużył się Warszawie lepiej od wszystkich obcokrajowców, przyjeżdżających po nasze ruble i oklaski. Upodobał sobie szczególnie Warszawę, która go znowu tak bardzo nie wynagradza, i dla własnego zadowolenia grywał, rodakom Szopena tak rzewnie, czule i od serca, bo — jak powiada, tu go jakoś najlepiej rozumieć i słuchać umieją.

Dzięki hiszpańskiemu skrzypkowi nowa świątynia, wspaniała pod względem struktury i rozmiarów, wznosząca się na Grzybowie zyskała kilk tysięczny fundusz na organy.

Sarasate nie dał się dwa razy prosić, aby zagrał na cel dobroczynny, a nawet sam ofiarował się przyjechać umyślnie do Warszawy, aby wziąć udział w koncercie na korzyść ubogich uczniów Instytutu Muzycznego, i — słowa pokawalersku dotrzymał. Zeszłej niedzieli grał już po powrocie z Rygi.

Iluż to przyrzekało nam za sympatyą i gościnę wywdziżyć się w podobny sposób! — ale słowa uleciały z wiatrem a z obietniczek śladu nie zostało. Wszakże dotychczas tenże sam Instytut muzyczny, który dzięki Sarasatemu otrzymał świetną zapomogę z funduszy publicznych, oczekuje do dzisiejszego dnia przyjazdu Antoniego Rubinstein, — „króla fortepianu,“ którego „król skrzypków“ przypadkowo w spełnieniu dobrego, zapowiedzianego uczynku — wyręczył.

Talent nie powinien przeszkadzać słowności; czoło artysty tem świetniejsza otacza aureola, gdy jej blasku dodają piękne cnoty i przymioty moralne człowieka. Niejedna, niestety — skroń, jaśniejąca pod laurowym liściem, tej ozdoby wykaże — by nie mogła....

Karnawał całe dwa miesiące w szalony wir porzucił będzie ludzi łakomych na tę piankę żywota, co odurza i przesyca tem wcześniej, im więcej się jej zakosztował.

Chcemy przypuszczać, że Warszawa będzie w tym roku rozsądniejszą i oszczędniejszą w wydatkach na zaspokojenie próżności i zachcianek chwilowej gorączki, którą zazwyczaj zwykły u nas rozbudzać karnawał. Nie wiemy nic o programie zabaw publicznych, ale przypuszczamy, że złoży się nań długi szereg balów, rautów, maskarad i loteryj fantowych pod firmą mniej, lub więcej uporowanej dobroczynności.

Jedną nowość zapowiedziały nam tylko pisma codzienne, a to mianowicie: bale maskowe w sali Wielkiego Teatru, które na wzór słynnych balów Opery paryskiej mają dostarczyć pięknym Warszawiankom i interesującym Warszawianom sposobności do nowej i ożywionej zabawy. Gdyby Dyrekcyja mogła postarać się o ożywienie tradycyjnego dowcipu i humoru, który niegdyś cechował nasze maskarady, zasłużyłaby się niezawodnie lepiej, aniżeli reformą wewnętrznego urządzenia redut, dosyć co prawda osławionych ostatniemi czasy.

O dowcip maskaradowy, grzeczny, elegancki, intrygujący, bardzo trudno w Warszawie. Nie brak nam za to osobnego rodzaju dowcipnisiów, którzy nawet dowcip swój starają się spożytkować publicznie w sposób równie nowy, jak — podejrzan.

Oto jeden z takich, tym razem, kupiec jakiś czy kramarz — wystąpił z reklamą godną rodowitego Amerykanina. Ogłosił bowiem, iż „skutkiem trzęsienia ziemi w Chorwacji,“ jest w możności towarów swoje za połowę ceny odstąpić kupującym!...

Czyż to nie oryginalne i dowcipne zestawienie Warszawy, Zagrzebia i handlu? — Jeśli tak każde zaburzenie wulkaniczne naszego globu wpływać

będzie na obniżenie cen sklepowych w Warszawie, to doczekamy się jeszcze tego, że rzeźnicy sprzedawać będą cielece mózgi po groszu, a wówczas będzie niemi można tanim kosztem napełniać te głowy, które wierzą dzisiaj w tak błogi i korzystny wpływ chorwackiej klęski na nasz handel miejscowy. Biedni Kroaci nie przypuszczają, jakie mimowolne przysługi robią swym pobratymcom nad Wisłą, umożliwiając im za połowę ceny nabycie towarów zagranicznego wyrobu.

Pokazuje się, że człowiek na wszystko się odważy, byle... handel szedł.

* * *

Nowy rok zasypał nas... prospektami. Nigdy jeszcze naraz nie namnożyło się tyle wydawnictw peryodycznych, ile w roku bieżącym.

Możemy być dumnymi, jeżeli 1882 zapisze cały, nienaruszony remanent prasy i zapewni dalszy żywot wszystkim tym noworostkom dziennikarstwa warszawskiego; ale dlaczegożby tak być nie miało?... Byle tylko było komu pisać, a dobrze i rozumnie, to czytających u nas nie braknie. Z prospektów pokazało się, iż najczynniejszym pisarzem polskim jest sześćdziesięcio-ośmio-letni Kraszewski, bo prawie każde pismo literackie zapowiedziało jego pracę w pierwszym kwartale.

Kto drugi śmie stanąć obok tego mocarza pióra!...

Na pożytek ogółu i rozmaitych jego warstw rozpoczęły lub rozpoczną swą pracę: *Prawda* pod redakcją Dr Alexandra Świętochowskiego, *Gazeta świąteczna* z zacnym Promykiem na czele, ilustrowany tygodnik *Romans i powieść* pod literackim kierunkiem M. Gawalewicz, *Przegląd archeologiczny*, *Gazeta kolejowa*, *Wiosna* prowadzona przez Jaskółkę (Jadwigę Zeithelmównę).

Zorza zmieniła format i korzystniej przedstawia się dla oka naszych prostaczków. *Biesiada literacka* przeszła na własność wyłączną swego rzeczywistego redaktora, p. Władysława Maleszewskiego, *Athenum* zaś pozyskało naczelnego kierownika w osobie wytrawnego krytyka i badacza literatury, p. Piotra Chmielowskiego. W Krakowie wreszcie wyszedł pierwszy zeszyt dwutygodnika pod redakcją Dr Tadeusza Ratowskiego, noszący nazwę *Muzeum*, a mający podobno uzyskać debiet w Królestwie Polskiem.

Oto spora wiązanka noworocznych nowalii dziennikarskich, o których chociaż pobieżnie byliśmy obowiązani wspomnieć przez koleżeńską życzliwość i sumienność kronikarską.

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Pan Julian o kobietach, o amorach, o tych błazeństwach, że tak powiem, myśleć nawet niepowinieneś i niepowinieneś się ważyć mówić o nich.

— Widzisz, Buczynsiu — mówił trzpiotowato nieustraszonego chłopaka — nie masz racji. Kiedyż będę o tem myślał, jeśli nie dochodząc lat dwudziestu.... Patrzaj-że, iż mi się wąż wysypał, a to się zowie *pubertas* — „kanikuła“ popolsku! Myśląc zaś, gdybym przed tobą, najdroższy mój nauczycielu, krył moje myśli, byłbym hypokrytą. A co?

Buczynski ramionami ruszył, idąc sobie fajkę nakładać, bo namiętnie palić ją lubił. Nie odpowiadał już.

Julek, śpiwając, kręcił się po pokoju.

— Wiesz, — paplał — kuzynka Ludmiła — ja ją trochę pamiętam: śliczna jak anioł, brunetka, oczy czarne jak węgle, zębki perłowe.

— Słuchaj-że, panie Julianie — przerwał Bu-

czyński zniecierpliwiony — jak mi będziesz takie rzeczy gadał — słowo daję, zmusisz mnie....

— Że się mamie na mnie poskarżysz? — wtrącił Julian. — Otóż ja ci powiadam, że nie uczynisz tego, bo-byś sam oskarżył siebie. A kto mnie wychował? ty; kto winien temu, że ja tajemnice natury znam? ty. I śmiał się. Buczyński ze złości puszczał kłęby dymu, patrząc w okno.

— Tak! tak! Buczyński — zawołał, podchodząc i chcąc go uściskać Julek. Nic nie pomoże, będziemy się nazabój kochali! Nawet ty. Ja czuję już teraz, że stracę głowę dla niej.

Uczynię z niej bóstwo moje. Wiesz, Buczyński — to jest niuchronne. Ja jestem tak spragniony kochania, że gdyby p. Virey dawał na mnie połudźku spojrzę — no, to powiadam ci — w niej bym się zakochał.

Pedagog, siedzący przy stole, nogą poczał tupać, podniósł głowę i z fajki pykając, mówił, aby Julkowi nie dać plesz herezy:

— Oj! trzebaby panu innego nauczyciela, nie mnie! coby surowo wziął. Takie rzeczy mi tu plesz! Gdyby to hrabina słyszała, hm?

Kiwnął palcem.

— Niechno p. Julian o zadaniu algebraicznym nie zapomina.

Julek się skrzywił — i — poszedł sobie skrócić papierosa.

Na folwarku w Brzegach, który zajmował od lat wielu rządcą majątku Tarkowski, panowało zamieszanie, nieład, bieganina, spowodowane jakimś wypadkiem nadzwyczajnym. Płacz i jęki dawały się słyszeć z wnętrza, sługi wbiegały i wyłatywały, mieniano szybko niezrozumiałe słowa. Stara Tarkowska z załamanymi rękami ukazywała się w sieni i nikła. Córka jej Genowefa, z kubkiem świeżej wody, od studni, potykając się, leciała pędem do dworku. Dalej parobcy i czeladź stała, cicho coś szepcząc, gromadkami.

Było to nad wieczorem. Ruch ten nie ustawał, a przez otwarte okno narożnego pokoiku ukazywała się kiedyniekiedy postać kobiety, z chustką na oczach zapłakanych, z włosom potarganym, przechadzająca się bezmyślnie, jakby upojona bólem, to przysiadająca i schylona, głowę opierając na rękach.

Izdebka, w której się znajdowała, skromnie bardzo i prawie uboga urządzona, zajęta była nagle i bezładu rzuconymi rzeczami, tłómczkami, zawiniątkami, które stały i leżały na ziemi, na stole i stołkach.

W progu, z załamanymi rękami, widać było młodą kobietę, otyłą, opaloną, całą we łzach, która, patrząc na siedzącą u okna panią, powtarzała ciągle głosem, łkaniem przerywanym:

— Na rany Chrystusowe! kochana panienko, niech się panienska uspokoi. O! Boże miłosierny! toś nas dotknął.

Ta, do której się te wyrazy stosowały, młodzieńcza, wielkiej piękności i niezwykłej szlachetności rysów i postawy panienska, nie przestawała płakać pocichu. Czarne jej, wielkie oczy, pełne ognia, we łzach pływały i czerwieniły się od płaczu.

Niekiedy zapatrywała się niemi, w osłupieniu jakimś bezmyślnym, w podłogę ubogiej izby; to znów schylała głowę i zanosiła się od łez i wybuchającego łkania. Jedno spojrzenie starczyło na poznanie, iż schroniona tu biedna istota, do mieszkańców folwarku nie należała. Inny stan i życie inne zdradzał, nietylko strój, ale wyraz postawy i oblicza.

Na twarzy jej, której boleść nie mogła pozbawić blasku i piękności prawdziwie klasycznej, obok cierpienia malowała się siła ducha wielka. Nie uległa ona pod ciosem, który ją dotknął, walczyła z nim. W chwilach zamyslenia osłupiałego, brwi się ściągały, usta zaciskały, — czuć było, że duch nie upadł i wznagał się, aby się nie dać pokonać.

Wstawała niekiedy i chodziła, żywo zadumana, potrącając o rzeczy porozrzucone, nie widząc nic, całą w sobie.

Pani Tarkowska w progu ciągle stojąca, której córka Genowefa, niekiedy w pomoc przychodziła, patrzyła na tę zboląłą, nieszczęśliwą, i szemrała ciągle:

— Panienko, panienko! wola Boża, wola Najwyższego, trzeba się poddać jej i nie zameczać tak, uspokoić, pomodlić.

Czyż nie lepiej, że liściowy Bóg wziął go do swej chwały, ażeby się miał tulać i cierpieć — a patrzeć i słuchać co się z nami dzieje! Panienko!

Panna Ludmiła Sciborzanka, gdyż ona to była, słuchała niesłyszając, po chwili stanęła naprzeciw starej Tarkowskiej, ręce jej opadły drżące, usta się poruszyły.

— O! moja kochana Tarkosiu — rzekła głosem ze łkaniem pomieszonym. Wszystko to ja sama mówię sobie. Tak! lepiej jest, że ojciec umarł, że spoczął. Bóg się nad nim ulitował, gdy to szlachetne serce już-by może nadmiaru nieszczęścia wytrzymać nie mogło. Al! lepiej jest, że się oczy jego zamknęły. Ja modlę się i płaczę nad sobą, niewiedząc gdzie się obrócę. Jestem na świecie sama, sama jedna!

— Al! panisiusi droga! prawda to, odezwiała się Tarkowska, bo ojca, a jeszcze takiego ojca, nie dla córki nie zastąpi, ale przecież familia jest, stryj, stryjenka.

Ludmiła skinęła głową.

— Na łasce! na łasce! szepnęła cicho — a, nie, moja Tarkosiu, ojciec mnie zawczasu przygotował do tego, czego się spodziewał i lękał. Znajdę siłę, nie będę ciężarem nikomu.

Mówiła tak sama sobie, dodając otuchy, ale siły ją opuszczały, strach ogarniał, i płakała znów. Panna Genowefa natrętnie stała ze szklanką wody, której kropel kilka wzięła do ust spłakana.

List, który o śmierci ojca tak nagle przyniósł wiadomość przed kilku godzinami, leżał jeszcze na stole otwarty. Ludmiła go wzięła w ręce i po nie wiem który raz czytała jeszcze.

— Al! tak, tak, poczęła mówić w pół do siebie na pół do Tarkowskiej. — Bóg się ulitował, aby mu goryczy wygnania oszczędzić. Nie chciał mi pozwolić iść z sobą, uciekł prawie odemnie. Gdybym choć w ostatniej chwili mogła być stać u jego łóża!

Sama jedna! sama jedna! powtórzyła machinalnie.

— Panienko kochana — przerwała Tarkowska — rodzony stryj! toć-to przecie tak jak swój własny dom! Maż powiada, że gdy hrabia miał już wyjeżdżać, pisał do niego list i dlatego panią z sobą wziąć nie chciał, bo ją w opiekę oddał hrabiemu Kantemu. Toć ludzie bardzo bogaci, tam na niczem zbywać nie będzie.

— Oprócz serca! — zawołała Ludmiła.

Tarkowska to dosłyszała i stłumiła westchnienie.

Cicho poczęła mówić:

— Słowo daję, ja przecie dawno znam hrabiego Kantego; pewnie nie nasz to nieboszczyk pan, choć rodzeni byli, ale też w gruncie dobry człowiek. Serce u niego jest, słowo daję! On panią nie opuści i jak własne dziecko ją przyjmie.

Za całą odpowiedź na tę pociechę, Ludmiła powtórzyła jeszcze:

— Sama jedna! sama jedna!

— A i pani hrabina Alfonsyna też, słowo daję, nie jest zła kobieta. Dzieci kocha; to już bardzo dobry znak.

Płacząca siedziała przy oknie, zapatrywała się w podwórko i otaczające je drzewa.

— W świat! w świat — poczęła mówić pocichu. — z tego kąta już nie naszego, gdzie się całą szczęśliwą młodzież przepiewało, teraz, w świat ze łzami! A to wszystko co tu tak drogie, oddać w ręce obcych, na profanację — na zniszczenie!

— A cóż na świecie trwałego! — odparła smutnie Tarkowska. — Panienczko — mężtwo!

— Al! znajdę ja je. — odezwiała się z energią Ludmiła, — ale mi daj wypłakać te łzy, które wzięły we mnie. Otrę je, pójdę w świat z suchymi oczyma. Nie lękaj się! Pocziwie ojczysko, uzbroiło mnie zawczasu w tę drogę. Serce jego mój los i własny przeczuwało. Wiedział, że mnie zostawi sierotą.

Stryj Kanty jest dobry człowiek, nie wątpię, ale tak obcy jakby bratem nie był kochanemu ojcu. Nigdy oni nie żyli z sobą pobratersku. Stryjenka Alfonsyna... a! ja o nich nie wątpię, ale — na łasce! na łasce być!

Załamala ręce, wstała nagle i poczęła się przechadzać.

Wtem, ocierając pot z czoła, wbiegł Tarkowski jakby z dobrą nowiną na ustach.

— Od hrabiego Kantego ktoś do paniąki przyjechał.

Ludmiła wstała, oglądając się: nikogo widać nie było.

— Jakaś pani. — mówił prędko rządcą, — ale niewiedząc zajechała przed pałac, a tam wszystko pozamykane i popieczętowane. Chyba ją tu prosić.

Sierota się nie odzywała. Tarkowscy oboje wybiegli zaraz. Przybyła była panią Virey, która nie wiedziała jeszcze, że tu wiadomość o śmierci ojca hrabianki zastanie.

Z chłodem i taktem, do którego Virey była oddawna nawykła, znalazłszy pałac zamknięty, sama już ona, wzięwszy sobie przewodnika, szła szukać tej, po którą była przysłana. I nim Ludmiła przygotowała się w duszy na jej przyjęcie, ocierając łzy i zbierając się na mężtwo, czarno ubrana, z twarzą swą marmurową, z ustami usznurowanymi, zimna jak kamień na pozór — stała już przed nią posłanka.

Grzecznie zbliżyła się ku sierocie. Po drodze Tarkowski już jej szepnął, że właśnie list nadszedł oznajmujący o śmierci wygnańca. Na Vireyowej nie zdawało się to czynić wrażenia.

— Jestem wysłana przez hrabiówstwo, stryja pani i stryjenkę, aby ją do nich zaprosić. — odezwiała się.

Ludmiła oczy w nią wlepiła.

— Hrabina Alfonsyna, — dodała, — byłaby sama przedsięwzięła tę podróż, ale jest cierpiącą. — Oto list stryja, — dodała wyjmując kopertę z torebki.

Ludmiła z ukłonem przyjęła pismo i nie czytając położyła je na stoliku.

Tarkowska grzecznie przysunęła stół gościowi. Virey, poprawiając włosy i rozglądając się po ubogiej izbie, a może i po rozrzuconych rzeczach, które oczyma liczyć się zdawała — usiadła. Oboje starzy po chwili cofnęli się z izdebki, zamknęli drzwi i zostawili kobiety same.

— Dowiedziałam się już tutaj, — poczęła wpatrując się pilno w hrabiankę Francuzka, — że jeszcze panią jeden cios spotkał, o którym hrabia Kanty nie wiedział.

Z ust Ludmiły słuchającej z roztargnieniem, jeszcze się wyraz żaden nie mógł dobyć.

— Wdzięczna jestem, — rzekła nareszcie głosem osłabłym, — stryjowstwu za ich dobre serce. Wistocie na czas jakiś przynajmniej zmuszoną jestem, nim się opamiętam, przyjąć u nich gości. Jestem sierota, sama jedna! Nie wiem co pocznę z sobą.

Virey, słuchając bacznie, zdała się zgłosu, ruchu, ze słów, chcieć odgadnąć tę, która mówiła do niej. Wprawna w poznawanie ludzi, z samego tej odpowiedzi toku, już mogła mieć wyobrażenie jakiegoś uosobieniu Ludmiły. Po dumnej i ostyglej wychowawce swej, znajdowała istotę tak od niej różną! tak mało hrabiankę, tak jakos mimo boleści już panującą nad sobą!

— Hrabiówstwo bardzo się o panią niepokoi, — dodała Virey, — dowodem tego, iż mnie natychmiast wysłano. Ja sędzę, — dodała, — że dla hrabianki lepszym będzie to miejsce wspomnień pełne jak najprędzej opuścić.

Łzy popłynęły z oczu Ludmiły, jakby mimowolnie; otarła je prędko.

— Zrobię, jak pani zechcesz, — szepnęła. — Ja tu już obcą jestem. Z domu mnie wyrzucono. Jestem na łasce u tych dobrych Tarkowskich, którym ciężarem-bym też długo być nie chciała.

— Sądzę, — wtrąciła Virey, korzystając ze słów sieroty, — że gdy damy jutrzejszy dzień koniom do spoczynku, a pani przez ten czas zechcesz się wybrać...

Dziewczę rzuciło okiem na nagromadzone w izdebce przedmioty.

— Oto wszystko co mi zostawiono, — rzekła, — wybranie się w drogę niewiele czasu zabierze.

Gdy się tak rozmowa, w chłodzie wielkim trzymana przez Francuzkę, rozpoczynała w zamkniętej izdebce, Tarkowska przygotowywała się na przyjęcie gości.

Robiono herbatę; spłakana panna Genowefa chodziła około wieczerzy; rządcza myślał o pomieszczeniu koni i powozu.

Ludmiła, przy zupełnie obcej osobie zmuszona ukrywać łzy, aby w niej litości nie obudzić — przyszła powoli do siebie. Virey mogła teraz mocniej się jeszcze przekonać, że ta, którą jej chwilowo oddano w opiekę, nie była słabą istotą, jaką się w niej znaleźć spodziewała, ani tak ecentryczną, jak ją opisywano.

To tylko w niej mogło dziwnem się nazwać i wydawać hrabinie Alfonsynie, że Sciborżańska sierota do Celiny i do hrabianki wcale nie była podobną. Virey widziała już z kilku słów, że wychowanie ojciec jej dał prawie mężkie; że ją zahartował na spodziewane może losu przewrót; że miała do czynienia z charakterem niełatwo ugiąć się dającym, iż jasnym zadan życia pojęciem.

Więcej niewiasty niż panienki w niej było trwożliwej — żadnej dumy rodowej, a mimo jak najstaranniejszego wychowania, formy salonowe nie krępowały w niej swobody ruchów i myśli. Wistocie nie było to towarzystwo dla sztywnej panny Celiny, ani mogła to być nuta harmonijna w gammie życia powszedniego tych, do których jechała.

Virey była zimna, skąpa i w sobie zamknięta, ulegająca aż do płaszczenia się swej pani i wychowawcy, — lecz... wyschłe jej i zaniemiałe serce kryło w sobie więcej, niżby się można było po nim spodziewać.

Tam, gdzie żyła ciągle, nie do tego serca nie przemawiało i nie budziło go: mogło więc na siedm pieczęci zawarte usypiać w piersi; tu, ludzkie uczucie, ludzki ból, szczerłość jego, atmosfera cieplejsza niż na tamtych wyżynach — oddziaływały na Francuzkę.

Wstydząc się niemal litości, do której praktykowania nie była nawykła — Francuzka uczuła ją i usiłowała pocieszyć Ludmiłę.

Wieczorem na przerywanej rozmowie przesiedziały z sobą godzin parę. Tarkowska, na noc wyniosłszy się z izdebki, która zajmowała, oddała ją Francuzce, bo pałac był niedostępny. Dzień następujący zostawał na spoczynek. Ludmiła, przeplakawszy i przedumawszy część nocy, wstała spokojniejsza, i od rana około swych sierocych zawiniątek zaczęła się krzątać. Powóz przysłany przez hr. Kantego nie mógł jednak i tych szczupłych resztek mienia pomieścić. Nie pomyślano o tem, że Ludmile coś mogło pozostać. Tarkowski więc wszedł zrana z ofiarą, że swoje trzy konie da do bryczki, która resztę rzeczy hrabianki zabierze.

Panna Genowefa, równie jak rodzice przywiązana do swej panienki, z którą się razem wychowywała, — wyręczała ją, płacząc przy pakunkach.

Dzień jesienny był piękny, a Virey, nie mając co robić, wyszła na przechadzkę do przepysznego parku, który pałac otaczał.

Ludmiła chcąc raz jeszcze pożegnać drzewa swoje, pod których cieniem bawiła się, dzieckiem, wymknęła się także do parku. Nie był on jeszcze opuszczonym, bo zaledwie kilka upłynęło tygodni, jak katastrofa spotkała hrabiego. Ogrodnicy już byli rozproszeni, w parku pusto, lecz zaniedbania w nim znać nie było.

Ludmiła, z suchymi oczyma, blada i wzruszona, przebiegała ulicę, przysiadła na ławkach, rwała kwiaty, które, choć zeschłe, na pamiątkę zabrać chciała, gdy się z Vireyową spotkały.

Francuzka pozdrowiła ją ze współczuciem, chociaż nawyknięcie do chłodu objawienie go powściągnęło.

— Może pani chcesz być samą? — spytała Ludmiłę.

— Nie, — odpowiedziała sierota, — samotność by mnie rozrzewniła, a nie godzi mi się mięknąć. Muszę się zahartować. Chcesz pani? pójdziemy razem; pokażę jej to, com niedawno mojem i ukochanem zwała, a co dziś jest obcem i powinno mi się stać obojętnem.

— A! nie — przerwała. — Mogą tu ludzie wszystko przewrócić i zniszczyć: w myśli mej na wieki wieków zostanie ten raj cichy, jakim go oczy i serce widziało. Chodźmy.

Francuzka szła, milcząca.

Ludmiła wydała się jej dziś inną, mężną nad siły niewieście, panią siebie. Łzy wstrzymywała w sobie, mówiła o sobie, jak o obcej. Pani Virey zdumiewała się.

Zwolna od półsłówek rozmowa zaczęła się rozwijać coraz swobodniej. Instrukcja, z jaką wyprowadzono Francuzkę, przyszła jej na myśl — a godziła się dziwnie z tem, co odżywione serce jej dyktowało.

Hrabina poleciła jej raczej, rozczerowywać Ludmiłę, niż jej zbyt różowe czynić przyszłości nadzieje. Tak i sumienie i prawda i litość też wskazywały.

— Zdaje mi się — poczęła Francuzka po namyśle — że pani, pomimo bardzo bliskiego pokrewieństwa, znasz mało stryja i stryjenkę?

— Mogę powiedzieć, że ich nie znam wcale, — odparła Ludmiła. — Widywalismy się rzadko; ojciec mój, jakoś z bratem się nie mógł zgodzić wręczach wielu. Życie nasze było zupełnie różne. Kilka razy spotkałam zaledwie hr. Kantego i stryjenkę Alfonsynę; Celiny prawie nie znam.

Zwróciła się jakby z pytaniem do Francuzki, która oczy spuściła:

— Radabym panią — rzekła — przygotować trochę do tego, co znajdziesz a nas, u nie jest to rzecz ani łatwa, ani dla niej będzie przyjemną. Ja od lat wielu przywiązana jestem do tego domu, nauczyłam się go szanować, mam dlań wdzięczność.

Zamilkła nieco Vireyowa.

— Hrabia Kanty ma serce bardzo dobre — mówiła po namyśle — hrabina jest bardzo miłą w towarzystwie i na szacunek zasługującą osobą. Jej winniśmy, że wszystko w domu, w interesach tak dobrze idzie. Hrabia, sam sobie zostawiony, byłby nazbyt dobrodusznym. Pani nasza musi trzymać w rękach i męża i interessa... i dom... i dzieci.

Ludmiła z uwagą słuchała.

— Powtarzam, ludzie bardzo są zacni — lecz — lecz — dodała, głos zniżając — wielkiej czułości po nich, po hrabinie, po mojej Celinie, niech się pani nie spodziewa...

— Nie mam do niej prawa — odparła Ludmiła — Zawsze wdzięczną im już jestem, że pomysłili o mnie, dopóki ja sama o sobie pomyśleć nie będę mogła.

— Niech sobie hrabianka nie wyobraża — podchwyciła Virey litościwie, ażeby oni ją kiedykolwiek opuścić mogli. O! nie! hrabiemu chodzi o to, aby tak blisko spokrewniona z nim na igrzysku losu wystawioną nie była.

Szły trochę w milczeniu.

— Pani to rozumiesz, odezwiała się Ludmiła, że nawet na łasce stryja, nawet na łasce rodziny, nawet słabej jak ja kobiecie, nie dla dumy rodowej, ale dla godności ludzkiej — żyć, jest rzeczą upokarzającą, bolesną. Ja — przyjmuję ich opiekę na chwilę — ale...

— Ale, bylebyś pani oswoiła się z naszym życiem — tej opieki jej nie zabraknie — rzekła Francuzka. Cóżbyś pani mogła począć z sobą sama?

Ludmiła zwróciła się żywo do niej.

— Pani moja — rzekła — a jakże wy sami, także osamotnieni jak ja i bez opieki a majątku, umielicie życiu podobać? Dlaczegożbym ja nie mogła sobie zapracować na chleb i dach? — Westchnęła.

Ojciec mój może przewidywał, co mnie spotka — rzekła. — Dał mi wychowanie bardzo staranne, lecz zarazem pańskie i ludzkie. Umiem tyle, że uczyć mogę, a nawet mówiono, że mam talent.

— A! pani kochana — przerwała Virey, trochę się zapominając. — Ja najlepiej wiem, co to jest kobiecie chcieć iść o siłę własnej — kobiecie młodej, pięknej, której wychowanie, talenta, nie współczucie obudzają, ale jej nadają urok niebezpieczny. I ja — walczyć musiałam i płakać łzami gorzkiemi, nim ten dach znalazłam, ten dom i ten spokój zamarły, w którym vegetuję.

I ja byłam piękną, młodą, biedną, z niby-talentami jakimiś i z silną wolą — a jednak...

— Jednak dopłynęłaś pani do portu — przerwała Ludmiła.

— Ja zamarłam w nim — dodała Francuzka. Łódka się już nie rozbija, lecz lody ją ścisnęły na wieki.

Pani zaś, mówmy otwarcie, jej urodzenie, imię, tytuł będą, nie pomocą, ale przeszkodą do czynnego życia.

Zadumała się Ludmiła.

— Któż mnie znać będzie? i przeszłość moją? W tym kataklizmie, któremu uległ dom nasz, postradałam spadek przeszłości całej, więc i imię. Dziś jestem prostą dziewczeczką, sierotą, nic więcej.

— I potrafisz nią być? — spytała Virey.

— Mam najmocniejsze postanowienie — z siłą odezwiała się Ludmiła.

— Tymczasem o tem mowy być nie może nawet — rzekła Francuzka. — Hrabia Kanty, zabierając ją do swojego domu, niejako bierze na siebie jej przyszłość. Imię, piękność, talenta dadzą pani łatwo — jutro szczęśliwszą i bez troski.

Ludmiła potrząsnęła główką, ale nic nie chciała odpowiedzieć.

(Dalszy ciąg nastąpi)

KRYSZTAŁKI.

Przysłowie, jest to rozum ludu, co się skryształilo, Rzuć promień, aby myśli blask jasny się zapalił.

Żadna siła z pustego dzbana nic nie naleje,
Lecz o skałę pustyni rzuć gorącą nadzieję.
Uderz wielkiem pragnieniem, a tryśnie źródło żywe,
I dasz pić wszystkim ustom, które są wody chciwe.

Rwie brzegi woda cicha dlatego, że głęboka:
Ma prądy dnem idące, niewidzialne dla oka.

Kto jest mądry po szkodzie, jest jeszcze mądry
[bardzo,

Bo nie należy do tych, którzy nauką gardzą.
Przychodzi do niej w ciężkiej i twardej cierpien

[szkole;

I może jeszcze znamie dumy nosić na czole,
W sercu chować nadzieję, w piersi mieć wiarę

[w siebie.

Ten dopiero upiołem jest po swoim pogrzebie,
Kogo nie zdoła nawet szkoda mądrym uczynić.
Na wielkim sądzie ludów Pan Bóg go będzie winić,
Że był boleścią świata — siebie i swoje plemię.
Zrobił tym prochem, który ludzkość wdeptała

[w ziemię.

M. I.

LISTY Z ZAGRANICY

przez

J. I. Kraszewskiego.

Conrada *Francuzkie obrazy*. — Wiktor Hugo. — Charakterystyczne tytuły. — Szlachta francuzka i szlachta niemiecka. — Uszlacheć i odszlacheć. — Goethe i W. Hugo. — Życie domowe W. Hugo. — Rękopisma. — Flaubert. — Powierzchność i dzieła. Biografia. — Sarah Bernhardt. — Sarah i Gounod. — Pracownia artystów. — Atelier Sary. — Dowiec Dumasa. — Pracownia artystki. — Scena z jej komedii „Złota szpilka”. — Hrabia i śpiewaczka.

Mamy przed sobą już drugi tomik studyów z natury P. M. G. Conrada, pod tytułem: *Französische Charakterköpfe* (Leipzig, Reissner, 8 — 206 pp.). Autor, jak się zdaje, przebywający we Francji, doskonale obeznany z tamtejszym literackim, artystycznym i politycznym światem, a szczególnie z znakomitościami jego, czytany w mnóstwie tych dzienników i dzienniczków, które do nas albo nie dochodzą lub nie bardzo są dla zamiejscowych zrozumiałe — kreśli tu „główki” z natury, dosyć szczęśliwie. Nietyle sąd jego o ludziach, charakterystyka i sposób malowania, wprawny lecz nieznaczający, uderzają, ile raczej obfitość informacji, anegdot, rysów szczęśliwie

nagromadzonych i zrecznie zlepionych z sobą. Na początku tego drugiego szeregu stoi — *à tout seigneur tout honneur* — naturalnie W. Hugo! Niema tu zbyt nowych i uderzających rzeczy, lecz są drobnostki zajmujące. Autor nastaje na przepożęną wiarę w siebie wielkiego poety, na rodzaj autotheozy i na majątkowe szczęście wieszczą, któremu świat dał wszystko, co tylko mógł mu złożyć u nóg, począwszy od męczeństwa aż do aureoli, do złota i do ubóstwienia.

Nadzwyczaj trafne jest następujące postrzeżenie, z powodu tytułu hrabiego, do którego Hugo ma prawo, ale się go wyrzekł i nigdy nie używa. „Obaj synowie jego nie nosili go też wcale, pisze P. Conrad. Nie potrzeba sądzić, ażeby ta demokratyczna fantazyjka tylko rodzinie W. Hugo była wyłącznie właściwą. Znajdujemy obyczaj ten i u innych liberalnych pisarzy we Francji, zachowywanym. U Henryka Rochefort możnaby to wziąć za skutek jego radykalizmu, ale p. Edward Laboulaye swoje *de* pewno nie dla zbyt liberalnych zasad porzucił. Sławny karykaturzysta Cham, którego prawdziwe nazwisko było hrabia de Noë, dla wielu dopiero po śmierci objawił się jako dziecko wielkiej i starej rodziny. Liczący się do znakomitości teatru De l'ambigu-Comique, pan Gil-Naza, jest także synem prawym hrabiego. W żadnym innym kraju szlachta na polu pracy duchowej tak wielce się nie odznaczała, jak we Francji; począwszy od Montesquieu do Mirabeau, St-Simon'a i Tocqueville'a. Filozofia winna wiele szlachcicowi Descartes. Dziwnie ubogo wygląda szlachta niemiecka obok francuskiej. W historii naszej literatury, sztuki i kultury, szlachta rodzima gra rolę bardzo podrzędną. A że objaw ten inteligencji i znaczeniu naszego szlachectwa niezbyt jest pochlebnym, z upośledzenia uczyniliśmy cnotę, i musieliśmy nasze geniusze i talenta, począwszy od Goethego i Schillera, aż Scheffela i Gottschalla uszlacheić i dyplomami poobdarzać. Tym sposobem literatura nasza nabyła tak arystokratycznego pokostu, jak żadna inna w Europie. W rewolucyjnej Francji szlachta, jak tylko ducha w sobie poczuje, wyrzeka się tytułów; u nas, gdy się talent ukaże, zaraz go w ramę złoczoną oprawiają“.

Uwaga to wielce charakterystyczna, lecz wróćmy do W. Hugo.

To, o czym zapewne mało kto wie, W. Hugo ma nienawidzić Goethego. Jest to jego *bête noire*. W pewnym kółku literackim rozmawiano o Goethym i Eckermanie, gdy wszedł W. Hugo.

— Goethe! — zawołał usłyszawszy to imię — ale cóż to jest! To nie istnieje! Goethe? Cóż on właściwie napisał? — Nic — a! przepraszam! — *Rozbójników!*

— Niech mistrz przebaczy — przerwał ktoś, ośmielając się — „Rozbójnicy“ są Schillera.

— Więc widzieliście nawet „Rozbójników“ nie napisał on, tylko Schiller — zawołał ramionami ruszając W. Hugo.

Anegdota jest widocznie zmyśloną, ale ma pewne znaczenie.

Gdy to piszemy, właśnie zjadły krytyk francuzki wystąpił z zupełną negacją zasług Goethego, którego nudnym nazywa; W. Hugo więc ma uczniów i naśladowców (Barbier d'Aureville).

Wiktor Hugo, pisze p. Conrad, wstaje zwykle bardzo rano z łóżka, wspaniałego, z pawilonem w starożytnym stylu, i udaje się do swej pracowni, której okna zimą i latem stoją otworem.

Nulla dies sine linea, pracuje codziennie. Pisz na ogromnych arkuszach papieru hollenderskiego, w który go jakiś wielbiciel raznawsze zaopatrzył, tak, że mu go na całe życie starczy. Ponieważ nie bierze się do pióra dopóki myśli stałej formy nie nada, rękopisma więc prawie poprawek nie mają.

Według usposobienia rzuca pracę wcześniej lub przeciąga ją o jaką godzinę nad zwykły czas sniadania. Czasem przychodzi dopiero do stołu o godzinie drugiej i bawi się rozmową z panią Drouet i wnukami swemi Jerzym i Joasią. Nadeciągają później przyjaciele i pomocnicy, Lesclide, Paul Meurice i inni, którzy interessa z księgarzami, z rękopismami i t. p. załatwiają. Głównie zajmują poetę wydanie ostateczne wszystkich dzieł. Oprócz rzeczy znanych, żelazna szafa zachowuje

dla przyszłości przeznaczone, niewydane rękopisma, pięcioaktowy dramat, *Torquemada*, dwie komedye wierszem, trzecią część *Legendy wieków*, wielki poemat *La fin de Satan* i wiele rzeczy drobniejszych. Naturalnie, p. Conrad nie może ani zapamiętać ani przebaczyć poecie, w 1842 roku jeszcze wyrzeczonego, niesprawiedliwego zresztą, wyroku: „La pensée allemande est rentrée dans l'ombre“. Pomimo że jednak, sąd do pewnego stopnia jest umiarkowany, przedmiotowy, i z poszanowaniem dla wielkiej tej postaci wyrzeczonej. Ma ona strony słabe, ludzkie, lecz niepodobna i jasnych nie widzieć.

Po W. Hugo poświęcił autor kilkanaście kart Gustawowi Flaubert, zmarłemu d. 12 Maja 1880 r., autorowi *Pani Bovary* i *Salammbô*, dla którego znakomitego, oryginalnego talentu, jest z wielkiem uwielbieniem.

Dowiadujemy się ztąd, że Gustaw Flaubert odznaczał się nadzwyczajnie silną budową ciała, wzrostem olbrzymim, że nigdy nie chorował, że letnie miesiące spędzał w swym wiejskim domku w Croisset, a zimę w Paryżu, w skromnym mieszkaniu na przedmieściu St-Honoré. Człowiek ten był milczący, pracowity i obmyślający a studiujący wszystko, co pisał, z troskliwością największą. Wiadomo, że gdy zamierzył stworzyć swój romans kartageński, popłynął na miejsce i zamieszkał na ruinach, dopóki ich nie zbadał. Pomiedzy pierwszym jego dziełem, które tyle wywołało wrzawy, wydanem w 1857 r., a *Salammbô*, wydanem w 1863 r., sześć lat jest przerwy i milczenia. I znowu lat sześć przedziela romans kartageński od „Wychowania sentymentalnego“.

Śmierć zaskoczyła go nad ostatnimi kartkami wielkiego romansu, pod tytułem: *Bouvard et Pécuchet*, który, oile wiemy, dotąd się nie ukazał¹⁾. Mniej znane są prace dramatyczne Flaubert'a, których p. Conrad kilka wylicza. Te wcale się na scenie nie ukazały.

Zola i jego szkoła zaliczają zmarłego do swoich protoplastów; lecz przepaść dzieli znakomitego twórcę *Salammbô* od tych uczniów. Flaubert miał dar postrzegania i obrazowania nadzwyczajny; nie cofał się wprawdzie przed szczegółami wstrętnymi dla innych, gdy myśl przewodnia dzieła wymagała, aby ukazane były, ale się nie lubował w śmieciach i nie tarzał w błocie, co zdaje się być zadaniem nowej szkoły.

Kilka rozdziałów w wizerunkach poświęca autor politycznym osobistościom, które dla nas nie mają w sobie nic pociągającego, równie jak dosyć blade sylwetki nowego dyrektora opery p. Vaucorbeil, nowego kompozytora p. Delibes i Lecoqa.

Na końcu mamy dosyć barwny wizerunek panny Sary Bernhardt, sławnej ze swej nadzwyczajnej chudości i z obfitości talentów, jakimi ją obdarzyła natura, gdyż jest zarazem znakomitą artystką na scenie, rzeźbiarką, malarką, autorką. Namietnością Sary Bernhardt jest: żyć wrzawą, budzić hałasy, jaknajwięcej mówić i kazać mówić a pisać o sobie.

Zabawna lub smutna, jak chcecie, jest jej przygoda z Gounodem, autorem *Fausta*. Gounod, parę lat temu, znajdował się w stanie umysłu, w usposobieniu ducha nadzwyczajnym. Była to kryzys jakaś, w której wpadł w rodzaj pobożności, exaltowanej, takiej, że się o jego — przyszłość lekano.

Po jednej nocy bezsennej zerwał się bardzo rano z łóżka, ubrał i wyszedł na ulicę. Traf go na prowadził na Avenue de Villier, wśród której stoi słiczny pałacyk Sary Bernhardt, cały okryty zielenią roślin, pnących się po jego murach. Pomimo rannej bardzo godziny, gdy zadzwonił do drzwi, nad którymi wryta była dewiza: *Quand même*, wpuszczono go do fantastycznej pracowni artystki, która już była przy pracy, w zwykłym swym stroju z białego kaszmiru, spodeńkach i surduciku.

Wyglądała bardzo ładnie, ze swemi rudawemi, rozrzuconemi włosami, gładko przczesanemi tylko na czole.

Gounod siadł na sofie, podparł głowę na rękę i

uparcie milczał długo. Co mu na myśl przyszło? odgadnąć trudno; nagle zapytał:

— Sara! czy ty się czasem modlisz?

Mówiąc to dobitnie, kładł nacisk na każdym wyrazie.

Artystka, z początku uderzona pytaniem, milczała długo, potem ramionami ruszyła.

— Modlić się? ja? — zawołała — nigdy — ja jestem ateistką.

— Ateistką! — krzyknął drżącym głosem Gounod. — Ty! ateistką! I pobladł.

Nagle porwał się z siedzenia, załamał ręce, upadł na kolana i ze łzami w oczach rzekł:

— „Boże dobroci, Boże miłosierdzia! Tyś to stworzenie twoje najkosztowniej szemi darami Twoimi wyposażył; dałeś jej wdzięk, talent, geniusz, stworzyłeś ją, aby kochała i była kochaną. Dałeś jej wszystko — tylko wiary odmówiłeś! Miłosierny Boże! niech łaska Twoja będzie Sarze objawioną, przebacź jej, oświeć ją!“

Trwała ta modlitwa z kwadrans. Artystka stała, niezmiernie pomieszana. Nareszcie Gounod zerwał się, pochwycił kapelusza, rzucił na nią oczami łez pełnemi i — uciekł.

Scena ta odbyć się miała w dziwnie przystrojonej pracowni Sary, którą nasz autor porównywa do atelier Makarta w Wiedniu i Siemiradzkiego w Rzymie; mybyśmy dodali jeszcze: Chlebowskiego w Paryżu.

Znamy dobrze pracownię Makarta, która jest w istocie jak obraz gotowy piękna i bogato przystrojona (samy gobelinów nie zliczyć); lecz opis sali, w której maluje i rzeźbi p. Sara, coś jeszcze nad nią osobliwszego przypuszczać każe. Dwie straszliwie obrzydliwe małpy witają w progu. Pan Conrad domyśla się w nich wyznania Darwinowskiej wiary przez tę, która je tu posadziła.

Sypiać ma artystka w hebanowej trumnie...

Z wychudzenia p. Bernhardt śmieje się i dowcipuje Paryż cały. Na wystawie znajdował się portret jej przez Clairin'a, wystawiający leżącą na sofie, a przy niej ogromnego psa. A. Dumas miał się odezwać, patrząc nań: — „Pies, pilnujący kości (un chien qui garde un os)“. Podobnych konceptów obiega mnóstwo. Autor, surowy dla artystki, jedno jej tylko przyznaje i z jednego chwali; jest ona nadzwyczaj pracowita: rzeźbi, maluje, uczy się ról, gra; chora, kaszłająca, wycieńczona, często pada ze znużenia, dźwiga się siłą woli i zwycięża chorobę i znużenie.

Sara Bernhardt jest autorką dramatyczną. Z jej czteroaktowej komedyi: *Złota szpilka* autor przywodzi jedną scenę, która da poznać jej sposób pisanja.

Dwie osoby wchodzi do niej: Marya, sławna śpiewaczka angielska, i hrabia d'Arpenil, jej wielbiciel.

Hrabia

Nie przeszkadzam?

Marya

Bynajmniej.

Hrabia

Pozwoli mi pani, abym... mówił jej o mojej miłości dla niej?

Marya

Dlaczegoż nie? Chwilkę tylko. (*Wstaje i bierze z biurka małą oprawioną książeczkę*). Tak! mów pan teraz.

Hrabia

Nie dodajesz mi pani odwagi.

Marya

Czy ta książeczka go niepokoi? Zobacz pan tytuł.

Hrabia (czyta)

„Le livre d'Amour“. (*Po krótkiem milczeniu*). Ale cóż to?...

1) Głównie piszemy, początek już drukują: *Nouvelle Revue i Revue littéraire*. (Przyp. Autora.)

Marya

To są same oświadczenia miłości, których wysłuchawszy, spisałam je. Książeczka piękna, ale treść jej kłamliwa. Służy mi ona ku obronie. Spójrz, hrabio, są stronnice osobne na każdy stopień....

Hrabia

Ale ja kocham panią, — namiętnie.

Marya

Namiętnie? (przerzuca kartki). Stronnica namiętności zapisana cała.

Hrabia

Miłością uczciwą, wierną.

Marya (przerzuca stronnice)

Wierna? Na tej stronnicy niema jeszcze nic i pozostanie biała.

Hrabia

Pani jesteś, zaprawdę, osobliwszą kobietą. A jednak czarującego uroku jej piękności niepodobna nie czuć.

Marya

I dlatego się kochają we mnie.

Hrabia

Ta piękność jest tobą samą. Dlaczegoż nie chcesz pani przypuścić, aby miłość mogła być stałą, i żeby się nie znalazł mężczyzna?.....

Marya

Gdzież on jest?

Hrabia

U nóg jej.

Marya

Za nisko. Żenisz się pan zemną?

Hrabia

Ale.

Marya

Ale—nie? wszak tak?

Hrabia

Pytanie zawczesne.

Marya

Bynajmniej. Jasne tylko. Nie idzie zatem, abym ja chciała iść za mąż, mój drogi d'Arpenil; chcę wam tylko dowieść, że miłość wasza tak wielką nie jest, by aż do popełnienia głupstwa doprowadziła.

Hrabia

Dowód słaby. Można zmienić przekonanie.

Marya

Tem gorzej naówczas.

Hrabia

Dlaczego gorzej? Proszę o objaśnienie. Jesteś pani jak Sfinks zagadkową.

Marya

Ale bardzo jasną! W wypadku, który nas zajmuje, są tylko dwa przypuszczalne rozwiązania. Honor powiada: nie, miłość mówi: tak.

Hrabia

A w ostatku miłość może zwyciężyć.

Marya

Są czasem walki, w których zwyciężonym lepiej być niż zwyciężcą.

Hrabia

Jak to?

Marya

Jest prawo odwetu.

Hrabia

Nader subtelnie.

Marya

Może. (Drzwi się otwierają, wchodzi syn śpiewaczki).

Złota szpilka nie była nigdy przedstawioną na scenie. Figaro tylko dał z niej wyjątki.

W *Paris-Murcie* jest zręczna bardzo powiastka, a raczej bajeczka Sary Bernhardt, w której odbija się echo tej walki, jaką stoczyła ona ze wspomnieniem sławnej Racheli.

NOWINY PARYZKIE

Odłam szósty wprowadza nas w samą rdzeń rapsodu i pozwala zrozumieć: dlaczego ta książka się stała? *Jak się z geniuszami obchodzi człowiek?* (*Conduite de l'homme vis-à-vis des génies*). Tu znowu przechodzą przed nami niektórzy z myślicieli i dobroczyńców ludzkości, których swoi nie poznali i nie przyjęli. W każdym tu wierszu, w każdej jego stopie, widać jak poeta czuje głęboko, nie to, aby go zapomniano, nie uczczono zadosyć w ojczyźnie i w świecie, ale to, że zaniedbano go wynieść na pierwszą godność w kraju. Tu, wzięwszy się pod rękę Gall z Eliaszem prorokiem, Gallileusz z Mesmerem, Voltaire z Guttenbergiem, otwierają ten długi pochód, ludzi niosących pochodnią światła, przeciw którym fanatyzm religijny powstaje jak z mora złowieszcza. Nie chodzi tu o to, czy wszystko jest prawdą; byłoby rym był bogaty, i wyrażenie dosadne. Tak zawsze się dzieje, woła poeta, że:

„Skoro błysnie pochodnia, człowiek: gwałtu woła!
„Oburza, kto mu służy, albo go oświeca;
„Geniusz jest przestępstwem surowo karanem;
„Na wygnanie skazany każdy wielki człowiek,
„Choćby później pomniki miał mu świat wysta-
[wiać.]

Ten, kto potrafi rozplątać ten motek; ten, kto zrozumie cośkolwiek z tych trzech następnych odłamów, VII — IX: *Obchodzenie się człowieka ze stworzeniem, ze społeczeństwem i z samym sobą* (*Conduite de l'homme, vis-à-vis de la Création; vis-à-vis de la Société, et vis-à-vis de lui-même*); ten kto to rozumie i potrafi cierpliwie przeczytać do końca, może sobie powiedzieć, że jest wielkim... człowiekiem. Nigdy żaden scholastyk ani klasyczny poeta nie napisał nic bardziej napuszonego, i nie bardziej spletanego w swej czczości, nad te trzy odłamy. Niewiadomo czemu tu się należy bardziej dziwić: Czy fakundzie poety, czy zarozumiałości lub naiwności starca? Pisać takie wiersze, w młodości nawet, może się uważać za pewien rodzaj osłabienia władz umysłowych; ale pisać i drukować w wieku i w położeniu Wiktora Hugo: jest to rzecz, która głęboko zasmuca, nawet i najmniej mu przychylnych ludzi — bo dowodzi obniżenia się nie tylko inteligencji poety, ale i charakteru człowieka.

W odłamie X-m: *Oddziaływanie Stworzenia na człowieka* (*Réaction de la Création sur l'homme*), poeta podnosi się stopniowo ze swego upadku. Chcąc dowieść, że człowiek jest nicością, igraszką Stworzenia, że go ani pojąć, ani zrozumieć nie zdoła — poeta jaśniej widzi swą drogę — i jaśniej, zrozumialej tłumaczy swe myśli. Poznaje

on i wyznaje w prostocie ducha, że w poprzednich odłamach rapsodu często się z prawdą rozminął, — i osioł śmiało mówi Kantowi:

Quand on veut tout peser, on recontre des choses
Qui semblent l'opposé de ce qu'on avait dit;

A chociaż spotykamy tu jeszcze niejedną wiersz napisany jedynie dla rymu; przecież mniej tu już zamętu i chaosu, mniej dziwacznej nomenklatury nazwisk; sfera poetyczna jest i jaśniejszą i czystsza. Poeta, który przedtem wielu zaprzeczał rzeczom, zmuszony jest wyznać, że człowiek, jakkolwiek poczynąć sobie będzie, zawsze spotka:

„La présence invisible et sensible de Dieu“.

A zstępując powoli po wszystkich szczeblach złudzenia, woła nakoniec w boleści:

„Ze człowiek oszalał od tego, co marzył, truchleje na widok tego, co znajduje!“

W *Smutku ostatecznym*, XI odłam (*Tristesse finale*), osioł, raz jeszcze rzucając okiem poza siebie — na akademię, na szkoły, na mądrość ludzką, przychodzi do tej konkluzji, iż wszystko na świecie jako mądrość ludzka, redukuje się do niego do osła. Żegna ze smutkiem Kanta, rycząc ku niemu:

O Kancie! ja ustępuję, niewiedomości spragniony!

Dziwny ten rapsod kończy się:

Smutkiem filozofa i Bezpieczeństwem myśliciela (*Tristesse du Philosophe et Sécurité du Penseur*).

W pierwszym z tych dwóch ostatnich odłamów — Kant wyznaje w duchu, że w dzisiejszym stanie nauki i społeczeństwa mizantropia osła nie jest tak dziwną, jakby się to zdawać mogło; lecz że póty, póki społeczeństwo nie wejdzie na drogę, po której poeci, zesłańcy niebiescy, chcą przewozić ludzkości, póty niema się czego spodziewać, i że osłe uszy nieraz się jeszcze zarysują na tym zamglonym horyzoncie mądrości ludzkiej.

W drugim, to jest ostatnim odłamie — poeta wygłasza, iż smucić się i wątpić niema potrzeby — że wszystko co nas otacza, co nas porusza, co nas pędzi naprzód, jest rzeczą, jak my, znikomą; że sam cel jedynie jest wieczny, niezmienny; że Bóg chciał, aby ta żadna rzecz nieużyteczną nie była, bo każda rzecz prowadzi doń, jako do celu. A jeżeli to lub owo ujdzie przed naszym pojęciem, kto wie czy winnej sferze nie spotkamy się z tem samem już w jasności pojęcia? I poeta kończy, wskazując że:

„Le mal transfiguré par degrés fait le bien:

„Ne désespère pas et ne condamne rien“.

Niema tu więc, jak widzicie, ani aluzji do Niemców, ani przedrwiwania z ich filozofii i nauki. Ci, którzy tak się odezwali o tej książce, widocznie jej nie czytali. Kant występuje tu jedynie jako imię streszczające w sobie filozofią nowożytną w jej metafizycznym rozwoju. Nie dysputuje on tu bynajmniej z osłem, który jedynie obraca doń mowę, jako do najwyższej, naukowej powagi, w mniemaniu osiołka. Zdaje się nawet, że Wiktor Hugo, oprócz imienia filozofa, nic nie zastrzymał z dzieł i pomysłów jego.

Teraz kiedy streściwszy ten poemat, chciałbym żeń wyprowadzić jakąś konsekwencję — ta mi się z rąk wymyka! Do tej książki dałoby się zastosować najwłaściwiej to, co Wiktor Hugo kładzie w usta osiołka na karcie 16, mówiąc o dziełach piśmiennej przeszłości:

„Oh! comme vous m'avez obscurci, moi la nuit!“

„Oh! comme vous m'avez embêté, moi la bête!“

Chaos, zgmatwanie, powódz wierszy i rymów, w myśli ani porządku, ani ładu, w układzie żadnego zarysu, — paplanie, deklamacja, przesada. Czasem, czasem tylko wśród tej zamieci z piasku błysnie coś, naksztalt tęczowej barwy kryształu. To kilka wierszy, jakby z innej wyrwanych pieśni:

„Oh! ma jeunesse en fleur qui courait dans les

[près,

„Et les bois, par l'aurore et la joie empourprés!

„L'herbe verte! l'étable où l'on fait un doux somme!“

Śliczne to i świeże, jakby grecka Teokrytowa sielanka. Zdaje się, że pierś oddycha wonią świeżo skoszonego siana na łące. Ale, niestety, trwa to jedną chwilę tylko, i zaraz wpadamy w mętne fale tej powodzi, z której żaden entuzjazm nie potrafi wyratować ani poety, ani jego rozstrojonej lutni.

Krytycy tutejsi obeszli się dość skromnie z tym rapsodem starego barda. Jeden z nich, którego piórko umie zadrasnąć aż do krwi czasami, zaproszony na wieczór do poety, w wigilię właśnie wypuszczenia na świat „osiółka“, przyjęty uprzejmie, zniewolony wiekiem, sławą i grzecznością wieszcza, — „wykreślił się sianem“: zamiast mówić o poecie, mówił o poecie; opisał przyjęcie — postać starego barda, rozmowę swoją, — zacisze tego mieszkania, jego artystyczne ozdoby, i skończył tem, że nawet nie chce i nie może poddać dzieła pod analizę krytyczną, gdyż ta, woli to wyznaczyć otwarcie, nie może być szczerą, wskutek uwielbienia, jakie ma dla mistrza! I dodaje z ironią, której nie mógł się pozbyć: „Oto co mi nieraz mówił człowiek bardzo rozumny:

„Nie potrzeba nigdy rzucać się na Wiktora Hugo. W przeciwnym razie można się narazić na to, że jeśli kiedy biedne nasze pisma wpadną przypadkiem w ręce potomności, ta zawoła zdziwiona: — Cóż to za głupiec, który takie popisał brednie o największej literackiej chwale dziewiętnastego wieku!”

Jeden tylko Zola wystąpił śmiało i powiedział prawdę, całą prawdę, obejmując cały ogół tego próżnego balonu, który nam przedstawia książka. Po wyliczeniu wszystkich dziwactw i sprzeczności autora p. Zola tak kończy:

„Nie będę tak srogim, abym radził komu czytanie *Osta*; lecz jeżeli kto rzucił się na to w dobrej wierze, niechże nam powie, co ztąd potrafił wydobyć. Jestto niedostępne nawet dla wszelkiej poważnej dyskusji. Jestto niezmierne i próżne. Zdaje się jakby Nostradamus wmieszał się do roboty. Tylko wśród tego *patosu*, tego nawalu, czasem budzi się wielki poeta!

„Myśliciel, filozof, uczony — nigdy! Ale jestto potężny retor i król-poeta. Jeżeli myśl wieku nie jest w nim, trzeba przyznać, iż on wiek swój zapelniał muzyką brząających wyrazów, jakiej ludzkie może nie słyszeć nigdy! Dziś nawet w tych księgach swojej starości, które nas przerażają, odnajdziesz jeszcze tego potężnego kowala wierszy, którego młot dźwięczy na kowadło z łoskotem brązu i złota“.

My, zdając sprawę obszerną z nowego dzieła Wiktora Hugo, wypowiedzieliśmy myśl naszą otwarcie, szczerze, bez żadnej ogródki, i nie oglądając się wcale na przepowiednię owego to dowcipnego i rozumnego człowieka, którego wyprowadził na scenę francuzki krytyk. Naszym obowiązkiem było oświecić czytelników *Blusczu* sumiennie i dokładnie o dziele, które, jeżeli nie ze względu własnej swej wartości, to ze względu nazwiska autora, należy do historii naszego czasu.

Sam tytuł książki jest dobrze *wynaleziony*, mówiąc poksiegarSKU. Rola, jaką odegrywa osiołek w poemacie, pokazuje dokładnie, że pod tym skromnym płaszczykiem ukrywa się sam autor. Tyle skromności mogłoby zadziwić, gdyby stare przysłowie nie uczyło nas zaraz, że: „uniżenie się często bywa gorszem od pychy“. Tak jest w istocie: aby wypowiedzieć gorzkimi i twardymi słowy swoją pogardę i niechęć — tym instytucjom i ludziom, którzy przed nim nie pelzają na brzuchu, Hugo przodził osłe uszy. Kto na tem źle wyjdzie? pokaże przyszłość. Pychy i zarozumiałości starego poety nie dziś to jest pierwszy objaw. Niegdyś, dawno już bardzo, na pierwszym przedstawieniu „Burgrawów“ — nerwowa i znudzona tą sztuką publiczność wygwizdała Wiktora Hugo, jakby ostatniego z wodewilistów. Obrażony i do żywego dotknięty poeta, tak się odezwał do Augusta Vacqueriego: „O, nie wygwizdaj mnie nigdy więcej, gdyż nigdy odtąd nie dam żadnej sztuki na scenę“. Odtąd poeta pozostał wiernym danemu słowu i temu wierszowi z *Châtiments*:

„Et s'il n'en reste qu'un, je serai celui là“.

Les *Châtiments*! — jestto zresztą najulubieńsze dziś dzieło Wiktora Hugo, dlatego zapewne, że na tych kartach złożył on najdotkliwsze piętno

swojej nienawiści ku Napoleonowi III, ku Zama-machowi Stanu i drugiemu Cesarstwu. Wszak powiadają, że nic słodsze w świecie nad długo chowaną w sercu i wywartą nareszcie zemstę.

Powiadają, że pod potrójnym zamkiem starego poety ukrywa się dawno gotowy, skończony zupełnie dramat pod tytułem: *Torquemada*. Pytany i proszony poeta nigdy nie chciał z rąk go wypuścić, i nie tylko na scenę, ale choćby do druku oddać. Na wszelkie zapytania i prośby ma zawsze jedną odpowiedź: „Po mojej śmierci!“ Skończmy więc list ten, raz jeszcze powtarzając stare przysłowie:

„Uniżenie się gorszem bywa od pychy“.

Korrespondencya zagraniczna.

Wystawy: gwiazdkowe, szkół alpejskich, w Muzeum, artystyczne. Pomysł do naśladowania. — „Szkielety“ Zichy'ego. — Wykłady. — Pani Ernst. — „Ciegiele czasy“. — „Pojedynek“. — „Samobójstwo“. Skandal miejski. — Nie będzie balu. — Skandal parlamentowy niemiecki. — Obdarowanie dzieci. — Dwór. — Książki. — Kwiaty. — „Sępy“ następcy tronu. — Operacje brata cesarzowej.

Wiedeń w Grudniu 1880 r.

„Gwiazdka“ i „Nowy Rok“, to dwa największe, prawdziwie *rodzinne* święta tutejsze. To też cały miesiąc Grudzień jest tylko przygotowaniem do nich; one nadają przez cały miesiąc osobne piętno całemu miastu. Wszelki ruch, reklama, oszczędności i nadzieje małych i dużych ludzi, zwrócone są do podarków. Na każdym sklepie napisy: „podarunki gwiazdkowe“, a nadto na każdej niemal ulicy: „wystawa“. Sienie, arkady, dziedzińce, wszystko to zamienione w halle wystawowe, cały dzień rześcicie oświetlone — i cały dzień pełne kupujących. Sport reklamy i wystaw doprowadzony tu został do doskonałości; nie można wyminąć, trzeba oglądać — i zawsze coś się znajdzie do kupienia. Ale pojawiła się i nowość w tej mierze. Największe magazyny wstrzymują wyprzedaż w pewnych godzinach, w których są tylko wystawę, wtedy kupić nic nie można, więc oglądanie nikogo nie żenuje, a wybrać łatwo, bo na każdym przedmiocie wymieniona cena. Nowość ta powiodła się, i kupcy i publiczność chwala ją sobie. Pomijając podarunki dla dorosłych, trzeba się zdumieć nad obfitością i zbytkownością zabawek dla dzieci. Lalki, wysokości 15 cen. dochodzą do 15 złr. w cenie — i bywają, niestety, kupowane. Wszelkie przybory toaletowe, do zabawy — wygotowują szwaczki i wogóle wyrobnice po przedmiotach oddalonych; otrzymują one od hurtowników wybrakowane resztki materij, koronek i t. p. i z nich pracą i gustem swoim produkują pieści delka. Otrzymują za to zarobek nędzny — a towar ten sprzedaje się prawie na wagę srebra. Tylko dla tych biednych twórczyni podarunków niema „gwiazdki“ — tak tutaj jak i w każdej stolicy.

Gwiazdkowy, loteryjny, a zarazem poważniejszy cel miała, urządzona w salach towarzystwa ogrodniczego, wystawa „alpejskich szkół“ zawodowych (Alpine Fachschulen). Dla poparcia rozwoju przemysłu domowego ludu wiejskiego, zakłada rząd we wszystkich prowincjach z udziałem krajów i gmin, na pewien czas szkoły specjalne, mające na celu istniejący, miejscowy przemysł domowy ulepszyć, uszlachetnić, nauczyć postępowych sposobów pracy, ulepszonymi narzędziami — a przez to wszystko uczynić wyroby ludowe zdolnymi do konkurencji na szerszym targu, na wywóz za granicę. W Galicyi zajęto się dotąd na taki sposób koszykarstwem, snycerstwem, garncarstwem i koronczarstwem. Wystawa urządzona teraz w Wiedniu miała okazać, *nie* wyroby ludu, ale dopiero owoce pracy szkół dla ludu założonych, w których też głównie dzieci włościańskie się uczą. Okazane wyroby, wielce zajmujące dla ekonomistów i filantropów, dla ogółu publiczności nie przedstawiały nic ani ciekawego, ani nowego; w każdym sklepie galanterijnym wszystko się to znajduje i po znacznie niższych cenach. A przecież na wystawie

był tłok nieustanny, losy i okazy rozkupione; wszechstronny cel osiągnięto ku ogólnemu zadowoleniu. Otóż tego jawnego sekretu, jak to trzeba urządzić, warto się nauczyć i warto naśladować, o ile się da. Najpierw długi ciąg ślicznych sal, na galeriach doborowa muzyka; restauracja, kawiarnia, cukiernia; więc ciągły koncert i ciągle towarzystwo, przynęty nielada. Ceny wstępu wyższe i niższe, w różnych porach i dniach, a cała sprawa, nie pod nominalnym, ale pod czynnym protektoratem arcyksiążąt, którzy wystawę otwierają, odwiedzają, zakupują — więc na scenie arystokracja rodowa i pieniężna. Nadto cała sprawa oddana przez komitet w ręce pań i panien, które zajmowały się codziennie sprzedażą, ubrane w kostiumy ludowe z tych okolic, z których wyroby pochodziły. Te *przekupki*, to był właśnie najciekawszy okaz wystawy, do nich cisnęli się znajomi, one sprzedawały i losy — a loteryja, możność wygrania, to wabik również niemały, zwłaszcza, że i wygrane, meble i różne przybory wysokiej wartości, a *krajowego* wyrobu, również były wystawione. Okazy pochodziły z 21 szkół: wyroby drewniane, kamienne, skórzane, kwiaty surowe i sztuczne, ramki, fajki, laski, linie, noże, widelce i łyżki, lichtarze, zabawki, szcztotki, obciążniki i t. d., rzeczy gustu i użytku, o ile się da, ze znamiennym artyzmu, rysunki i obrazy na porcelanie, roboty kobiece wszelkiego rodzaju, zwłaszcza z niedawnej a już słynnej szkoły haftów, wiedeńskiej. Ale nie koniec na tem: ażeby ozdobić wystawę, a zachęcić do zwiedzania krajów alpejskich, urządzono domki włościańskie, groty, góry i skały a w nich i na nich manekiny typów ludowych; nadto wystawę wszelkich przyborów do ułatwienia, wygody i przyjemności podczas wycieczek w góry; ubrania, strzelby, torby, manierki... Nic też dziwnego, że dochód był ogromny, a przeznaczony na stypendya dla uczniów tych szkół i na budowę dróg i chat gościnnych w austriackich alpech. Na małą skalę użyto podobnego *sztyku* i dowcipu, rok temu w Krakowie przy urządzeniu uczty w Sukiennicach. Szczęśliwy, a z natury wesoły, lud wiedeński, przepada za takimi zabawami, które obok wszystkich innych zalet dają mu *towarzystwo*; a tego jednego nie ma nigdzie jeno w publicznych lokalach.

Równocześnie otwartą była wystawa gwiazdkowa w *Muzeum dla sztuk i rzemioł*. Zadaniem tego zakładu wspianego jest podnoszenie rzemioł do wartości artystycznej; odbywają się w nim peryodyczne wystawy wyrobów według grup; są przy nim szkoły zawodowe: rysunków, odlewów, haftów i cyzelowania; są wieczorne specjalne, bezpłatne wykłady z zakresu technologii, rzemioł, sztuki, wynalazków, organizowane systematycznie, ze stopniowaniem pojęć i zadań. Wystawa gwiazdkowa miała okazać ostatnie wyniki postępowej pracy rękodziel tutejszych. Urządzona z przepychem dekoracyjnym, tłumnie też była zwiedzana — gdyż było na co patrzeć. Czem „salon“ paryżki odnosi do wystawy obrazów, tem była ta wystawa odnosi do całej tutejszej produkcji; a trzeba tu zaraz dodać, że wszelkie, więc i ta wystawa, ma cel praktyczny, handlowy; są rzeczy drogie, ale są i bardzo tanie, a ładne i użyteczne. Dekoracyjne artykuły, przybory kościelne, malowania na szkle tyrolskie, wyroby szklane tutejsze i czeskie, okazy pracy kobiecej, oraz haftów fabrycznych, wyroby skórzane, z blachy żelaznej, mosiężnej i miedzianej, dywany, meble... tutaj widziane, nie na wystawach powszechnych, gdzie wszystko jest reklamą i komedya — świadczą o ogromnym postępie i zasługach Muzeum i jego szkół. O zakładzie robót kobiecych pani Bauer, która sama jest bardzo zajmującą osobistością — osobno kiedyś napiszę. Wysoko stoją tu już wyroby porcelanowe; co do fajansów daleko im jeszcze do doskonałości francuzkiej i angielskiej. Wogóle zwraca się smak do stylów dawnych z różnych wieków, a jest to kierunek bardzo trafny wobec braku nowych pomysłów. Lepiej naśladować wykończone, charakterystyczne kształty, niż gubić się w nieudolnym uganianiu się za nowymi, z czego zwykle powstaje niesmaczna mieszanina. Jest też to i najlepsza szkoła dla przysposobienia nowego stylu: poznanie i zapanowanie nad dawnymi. W pracach kobiecych zwrócono się do staro-

niemieckich wyszywań na płótnie, przypominających nasze ukraińskie.

Będąc przy wystawach, należy wspomnieć o artystycznych. W *Künstlerhaus* przeprowadzono *wyborny pomysł*: wystawę portretów historycznych, nie tylko osób ale i dawnych obrazów z historycznymi scenami. Pomysł ten prosi się, żeby go i w Warszawie urzeczywistnić. Jakaż-by to była skarbnica tradycji! — *proszę o podjęcie tej myśli*. W *Kunstverein* znowu widowisko i dziwowisko wcale nie artystyczne: przy oświetleniu wieczornym wystawa obrazu Zichy'ego: „L'heure des revenants“. Jest to, z fantazją bujną, wstrętą, allegorya, do której nadużyta została technika artystyczna, moral uplastyczniony obrzydliwie, pomysł zupełnie chybiony — lubo rozgłos wielki. Obraz przedstawia cmentarz z pomnikami, o północy, światło od księżyca i błędnych ogników. Duchy — nie, przepraszam, *szkielety*, które wybiegły na świat, powracają do swoich grobów i jeszcze na koniec wyprawiają *eynliche* hece, Geisterspuck. Jeden usiadł na swoim pomniku i z drwiącym śmiechem przerzuca zawieszoną na nim wieniec; inny wylazł na pomnik i prawi mowę; inny wraca, niosąc wręku uciętą głowę swoją; inny całuje się z narzeczoną *żyjącą*, która go przyszła odwiedzić, a wszystko to wstrętne kościotrupy — jedna tylko postać dziewczyny osłonięta estetycznymi słubnymi szatami. Wszystko to ma przedstawiać morał: „marność nad marnościami i wszystko marność“ a przedstawia tylko wstrętą fantastyczność, silnie się na nadwyczajność kosztem piękna. Jest to *naturalizm* Zoli w krainie fantazji. Dzieci, któreby obraz ten widziały, mogłyby on na długo ze snu budzić; dorośli doznają niesmaku. Pojąć trudno, że publiczność owczym pędem biegnie oglądać i wystaje długo, zamiast się odwrócić odrazu; a jeszcze trudniej pojąć, że krytyka, dla technicznych zalet malowania, tylko przez ogródki o zupełnem chybieniu pomysłu się wyraża. Nawet Ranzoni, co do wartości, jako dzieła sztuki, stawia tylko pytańnik, a o technice się rozpisyje.

(Dokończenie nastąpi).

DROBNE LISTKI.

Ballady i inne poezye Tennysona. Po *Ośle* Wiktora Hugo i *Endymionie* d'Izraelego, najrozsławniejszem zdarzeniem chwili w zagranicznym świecie literackim jest nowy tom poezyi koronowanego Anglii poety, Tennysona. D'Izraeli dostał za swój romans 10,000 sterlingów; przed ukazaniem się książki w druku, handel księgarski zapisał się na 7,000 egzemplarzy, dzienniki pisały, że utwór ten, ogarniający obrazami swemi pół wieku, pisany był przez autora lat dziesięć, a przeszło stu tłumaczy francuzkich zgłosiło się do autora o pozwolenie przełożenia jego książki, ale poezye Tennysona budzą innego rodzaju interes. Poważna i zwykle dobrze sędzić umiejąca krytyka w Londyńskim *Ateneum*, pisze, że jakkolwiek nie wszystko jest tam równej wartości, jednak znajduje się w książce wiersz, w którym Tennyson doszedł najwyższości swego talentu „jako poeta traktujący indywidualne życie ludzkości w jego szerokich objawach“. Wiersz ten, zatytułowany: *Rizpah*, nie ma jednakże za przedmiot *Rizpah* biblijnej, ale wiejską kobietę z zeszłego wieku, Walijkę, w takim samym okrutnem życia położeniu, jak heroina żydowska — matkę powieszzonego syna. Krytyka wspomniana pisze, że „utwór ten nie ma równego sobie w tragicznej poezyi naszego czasu“. Czytelnicy nasi będą go mogli poznać wkrótce w przekładzie.

Longfellow wydał tom poezyi, zatytułowany smutnie *Ultima Thule*. Poświęcony on jest pamięci zmarłego przyjaciela i myślą głównie skierowany w przeszłość, do czasów i ludzi, których już nie ma. Ale zabrakło sędziwemu poecie natchnienia i wszystko tam jest bardzo słabem.

Estella Lewis. Zmarła w Londynie d. 24 grudnia kobieta, używająca niegdyś rozgłosu sławy, a zawsze budząca żywy interes, jako sama poetka i kochana poety, Edgara Poë, Amerykanka z urodzenia jak on: Estella Lewis, znana w literaturze angielskiej pod pseudonimem *Stelli*. Tragedyą jej *Sapho*, właśnie wyszłą niedawno w szóstym wydaniu, przetłumaczono świeżo na język nowogrecki; poezye zatytułowane „The Records of Heart“ (*Wspomnienia serca*) drukowały się w wydaniu (jedynastem, gdy śmierć zamknęła jej oczy nagle i samotnie, wśród nocy. Smutny ten zgon bez nikogo, któryby ją pożegnał u kresu ziemskiego istnienia, przepowiedziała sobie smutnie w dawno już napisanym wierszu: *The Forsaken* (Opuszczeni):

Mówią, że zawsze ktoś płacząc, klęknie
Na każdym grobie;
Nad każdą trumną zawsze ktoś westchnie
W serca żalobie;
Lecz gdy konania boleść i trwoga
Piersi mi przytłoczy,
Zaliż nad sobą ujrzę, nieboga,
W łzach czyjeś oczy?

Estella Lewis była wdową po zamożnym i ukształconym prawniku; przypuszczają przeciw, że jedyną miłością jej serca był posepny, przez okrutnego sepa nieuleczonej rozpacz i tęsknoty pożerany, Edgar Poë.

Ouida dała do druku nową powieść: *Gmina wiejska*, rzecz oparta jest na smutnych starciach, jakie w życiu włoskiego ludu, silnie związanego z tradycjami przeszłości, wywołuje wprowadzony do Włoch francuzki Kodex Napoleona. Zapowiadają arcydzieło.

Pietro Cossa, dramaturg włoski, którego tragedya *Neron* posiadamy w przekładzie p. Kaszewskiego, napisał nową tragedya mającą nosić tytuł: *Neapol w 1799 r.* Głównymi osobami mają być: kardynał Ruffo, król Ferdynand, admirał angielski Nelson i zły duch jego żywota: lady Hamilton. Pierwsze przedstawienie tragedyi ma być dane na scenie bolońskiej ze współudziałem sławnej dziś tragiczki włoskiej, Virginii Marini.

Pomnik Mickiewicza. Francuzki romansopisarz i felietonista, Ulbach, pisząc o Bolońskiej Akademii Mickiewicza i uroczystości, jaka tam miała miejsce przy wmurowaniu pamiątkowej tablicy w ścianę domu, zamieszkiwanego przez poetę w 1848 roku, wzywa Francuzą, aby uczyniła to samo i uczciła pomnikiem pobyt Mickiewicza na ziemi francuzkiej. Przytacza przeto, prócz proroczych słów Goethego o naszym poecie, słowa Micheleta, który, mówiąc o wykładach Mickiewicza w Collège, rzekł: „Nous l'avons vu quelquefois plus qu'un homme...“ Widziano go tam wielkim geniuszem, i Ulbach ma słuszość, nie z naszego już, ale z ogólnie ludzkiego stanowiska żądając, aby tak jak w Rzymie, gdzie na Kapitolu postawiono popiersie Mickiewicza między wielkimi ludźmi świata, pomieszczono je w Kollegium Francuzkiem. Ulbach przypomina Francuzom, że jedna z ulic Rzymu, który jest starą stolicą świata, nosi nazwę *Ulicy Mickiewicza*; Paryżowi, będącemu dotąd niewątpliwie stolicą świata nowoczesną, należy być Panteonem wszystkich wielkości wznieśionych przez swój geniusz ponad jedną narodowość.

We Francyi zaczynają przeciw być tak nad miarę rozrzutni w posągi, że wkrótce nie będzie to żadnym zaszczytem stać tam zakutym w kamień dla pamięci pokoleń. Naradzają się teraz właśnie nad

wzniesieniem posągu dla smutnej pamięci poprzednika Zoli: Flauberta. Ten sam pisarz, który woła o pomnik dla Mickiewicza, ostrzega, aby nie zdekskredytować tego wyrazu czci narodowej.

Pomnik Dumas'a (ojca), który w inny, szlachetniejszy, uczciwszy niż Flaubert sposób bawił i zajmował przez lat kilkadziesiąt czytającą publiczność francuzką, stanął na placu Malesherbes, wśród zdobiącego go ogródka. Niektórzy, z Zolą na czele, występują przeciw temu, wołając, że powinien być dostać go pierwszej Balzak. Przeciwiec ogół Paryżan odpowiada, że woli mieć Dumas'a. Sara Bernhardt nadesłała na ten cel 1000 fr., ale zbiera ona tak olbrzymie pieniądze, że może być hojną. Cztery tygodniowe przedstawienia w teatrze Nowyorkim, przyniosły jej ogromną sumę 98,000 funtów sterlingów. Gra ona obecnie w Bostonie; tam dwutygodniowe występy dadzą jej 48,000 funtów. Obliczono w przypuszczeniu, że tak ona, jak jej obwoziciel, zbierze każde 200,000 funtów przez tegoroczny sezon.

Modrzejewska. Pisma angielskie na zakończenie występów Modrzejewskiej w „Adryannie Lecouvreur“, podnoszą talent jej bardzo wysoko. Zarzucają tylko zły wybór i tej sztuki. Dla aktorki ważne, w niej ustępy popisowe: deklamacja z „Fedry“ i bajka o gołąbkach nie może zbyt przypadać do gustu publiczności angielskiej, jak pisze krytyka teatralna.

Czeski organ teatralny: *Divadelni Listy*, podając wyjęte z londyńskiego *Ateneum* pochwały talentu Modrzejewskiej, cieszy się, że znakomita ta aktorka polska obiecała wystąpić i na czeskiej scenie. Publiczność Prazka spodziewa się widzieć ją w mającym się otworzyć *Narodowym teatrze*.

Czasopismo wspomniane mieści w swym pierwszym z roku tego numerze, portret polskiej aktorki, świeżo w Warszawie widzianej, p. Stachowicz. Miła, młoda twarzyczka bardzo sympatycznie wychodzi z niewielkiego drzeworytu.

Ruch, czeskie pismo wychodzące w Pradze co dni dziesięć pod redakcją Franciszka Chalupy, pomieściło w ostatnim zeszytowanym numerze opis Wilanowa, serdecznie skreślony piórem współpracownika naszego i innych pism polskich: Jelińska. Znajdujemy tam zaraz powiastkę przez Stupeckiego, z naszych stosunków z braterskiem współczuciem pisaną. Piękny bardzo jest wiersz wstępny Eliszki Krasnohorskiej: *Do czeskiej ojczyzny*.

Dowiadujemy się z *Ruchu*, że pomiędzy świeżo wyszłymi poezyami Jarosława Vrhlickiego, o których donosił właśnie w przeszłym numerze korespondent nasz z Pragi Czeskiej, znajduje się zasługujący na wyróżnienie wiersz: *Eza Twardowskiego*. Ładny jest w tem czasopiśmie drzeworyt: *Sredniowieczna sielanka*, rysunku czeskiego malarza: Waclawa Brozika, przebywającego w Paryżu i zajmującego tam bardzo poczesne miejsce. *Indépendance Belge* w korespondencji z Paryża donosząc, że restauracja starożytnych obrazów, znajdujących się w Luwrze, a nasamprzód dzieł Rubensa na co senat przeznaczył 120,000 fr., powierzona będzie „najlepszym artystycznym siłom, jakie Francya posiada“ wymienia między innemi Brozika.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 2-gi powieści pod tyt.: *Wódz-Duch*.

TREŚĆ. Pogawędka. — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Kryształki, poezya, przez M. I. — Listy z zagranicy, przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Korespondencya zagraniczna, (Wiedeń). — Drobne listki.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 Декабря 1880 года.

WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego J. M.

(Dalszy ciąg).

— Mężul mężul na miłość naszego dziecka — wykrzyknęła kobieta z rozpaczą, ale chory już odkreślił kryształowy korek flakonu i chciał go ponieść do ust.

— Generale nie pij! zawołał nagle głos z pod okna i Tankred de Gaillefontaine rzucił się gwałtownie, aby wydrzeć z rąk chorego cudowne lekarstwo. — Elixir Pittal... — dodał, trzymając silnie rękę Hoche'a wraz z flakonem.

Ten mu go puścił. — A... rzekł z mniejszym podziwieniem i uniesieniem, niż można było przypuścić — nie miałeś jednak vicehrabio dość twardego serca, aby widzieć jak mnie trują...

— Oh! krzyknął młodzieniec — przecierpiałem męczarnie piekła.

— Potrzeba świadków tej sprawie — kończył Hoche — wezwać tu doktora Poussielgue, wezwać audytora sztabowego... Humbecie, zrób to proszę...

Ale Humbert był jak kolos skamieniałego olbrzyma. Drżał, usta mu posiniały, przyszedł prawie do miejsca, dopiero wezwany przez przyjaciela odzyskał nieco przytomności. — Zabiję, zamorduję! krzyknął i chciał chwycić się Herodiasza, który teraz cofnął się nieco w bok od łóżka, ale już przemieniony, inny. Wprostował się dumnie i urosł w ten sposób o pół głowy, a choć niedorównywał wzrostem Humbertowi, było w nim coś, co zdawało się czynić go wyższym i gdy Francuz chciał podnieść na niego rękę, on odrzucił ją pogardliwym, ale tak silnym ruchem, jakgdyby prawica jego była odziana rękawicą żelazną. — Jestem Anglik, pułkownik Armstrong! rzekł wyniosło — przyszedłem tu zabić wroga ojczyzny mojej, nie udało się, niech więc biorą mnie na tortury, ale nie ty... lalko...

— Pułkownik Armstrong... powtórzył Hoche — wojskowy i truciciel...

— Tak, bom cię chciał pobić wszelką możliwą bronią i ważyłem zawsze życie własne w tej walce. Gdyś się ośmielił porwać zuchwale na ojczyznę moją, aby jej zadać cios w samo serce: gdyś powążył się wziąć w rękę sprawę przeklętych heretyków, sprawę Irlandyi, przysięgłem ci zgnę. Nie wstydzę się więc tego, com czynił, nie! Jestem Armstrong, kupiłem od szarlatana jego postać, dałem mu górę złota i przyszedłem tu, aby dokończyć zemsty...

Teraz zerwał z głowy kapelusz, teraz cisnął precz od siebie siwą brodę, okulary i ukazał się człowiek jeszcze młody. Włosy rude, krótko ostrzyżone, dawały mu pewne podobieństwo do Okragłych głów z czasu Cromwella, ich fanatyzm świecił w siwych źrenicach. Skóra, przyfarbowana na śniado, ukazywała przecież miejscami swoją naturalną barwę: blade żółta. Cały ten człowiek zdawał się być przeziąkły żółcią, oddychał nienawiścią i złością.

Gdy doktor francuzki, wylawszy w przyniesione naczynie płyn z flakonu, badał go przy pomocy dwóch młodszych lekarzy; on się śmiał dziko. — Po co szukać pracowicie tego, co wam odkryję sam — rzekł. Trucizna to ta sama, którą wasz bohater pił już raz — w Breście...

— Drugi raz skosztował jej niedawno temu, po

powrocie z Hollandyi. Pokój nad Renem pchał go znowu na moje drogi i wróciłem do dzieła.

— Dla czego działałeś tak powoli? zapytał Hoche. Był teraz bardzo blady, ale spokojny i rozmawiał z Armstrongiem bez uniesienia, bez gniewu. — Czy nienawisć twoja chciała mnie dręczyć dłużej?

— Nie, omyliłem się tylko. Byłem ostrożny i nie chciałem śmierci gwałtownej, abym mógł bezpiecznie uciec z Brestu.

— Ale teraz zapewne dałeś już dość? zapytał Hoche po chwili. Prawda?... —

Armstrong skinął głową. — Twój przyjaciel zmusił mnie tylko, abym tu był dziś; bałem się puścić Laensberga... zachciałem raz skończyć... — rzekł.

— Już skończyłeś — odparł Hoche z pewnym odcieniem melancholii w głosie; szukał oczyma żony, gdy tym czasem Poussielgue przybliżył się do niego. — Generale, ten człowiek jest zbrodniarzem — rzekł smutnie.

— A ja skazany już na śmierć... Prawda? Mów szczerze przyjacielu, jak długo mam żyć, jeszcze dzień, dwa — ile dni?

Poussielgue milczał, oczy zalały mu się łzami i nie odpowiedział, szybko się oddalił — uciekł, aby ogłosić wieść okrutną, że bohater francuzki musi umrzeć, otruty przez emissaryusza angielskiego. Hoche patrzył za nim chwilę, a potem odwrócił się do Armstronga. — Ponieważ działałeś bez żadnej myśli osobistych korzyści, ponieważ z miłości tylko dla twego kraju dopuściłeś się zbrodni na mnie, daruję ci: idź wolny...

Humbert się poderwał gwałtownie, ale Hoche nie dał mu przemówić. — Błędna i zła jest droga, którą się puściłeś, ale sumienie twoje oświeci cię o tem dostatecznie. Wiem, że będziesz wtedy cierpiał i pożałujesz twego czynu; niech Istota Najwyższa da ci taką chwilę pokuty, która może zmaże twą winę, jeżeli żal będzie głęboki i szczerzy — ja ci już przebaczyłem.

— Wicehrabio, proszę cię odprowadzić pułkownika Armstronga do powozu i nie daj, aby go ktoś znieważał. Może rzecz już się rozgłosiła i żołnierze moi mogliby porwać się na niego. Ale sam wracaj zaraz, skoro odjedzie. Mam z tobą jeszcze do pomówienia...

Tankred skłonił się i wyszedł za Anglikiem, który oddalił się w milczeniu, posępny jak noc zimowa. Karetka czekała zaraz przed domem i nikt też nie niepokoił jego odjazdu, zanim przecież ruszono, wicehrabia zatrzymał odjeżdżającego. — Mam do ciebie interes, pułkowniku — rzekł i zamieniono słów kilka półgłosem, potem Tankred wrócił do siebie.

Tymczasem w pokoju chorego zaszła pewna sprzeczka między nim a Humbertem, który chciał koniecznie pobiedz za Anglikiem, aby się z nim „porachować“ ale Hoche zatrzymał go w sposób, którego rzadko używał: rozkazem. — Nie pozwalam ci na żadne zajście z tym człowiekiem — rzekł — niech jedzie w pokoju. Nie jest to prosty zbrodniarz, i kara zemsty naszej powinna paść nie na niego. Ręką, która tu działała, jest Pitt, on to pchnął politykę Anglii na te podłe tory, wśród których wszelki środek, użyty w walce, jest godziwy. Francya niech postępuje inaczej; jak rycerze nie rozbójnicy wywieśmy chorągiew, przed którą schylałyby się czoła. Anglia ma miejsce słabe, które jest ciężkiem jej grzechem przed Bogiem i ludźmi; osiągnijmy serca Anglii, przez Irlandyę. Czy pamiętasz, o! czy pamiętasz tę chwilę, gdyśmy ujrzeli ziemię nieszczęścia, witani z daleka szalonymi krzykami radości jej biednego ludu? Ale burza i zdrada stanęła pomiędzy Irlandyą i myślą moją... Nie wstydzę się łez, które lałem, gdy trzeba było dać rozkaz odwrotu. Już zdawało się wszystko tak gotowe, tak pewne, tak dotykane, jak rzeczywistość i nagle... nie ze wszystkiego! Czy jest jakie okrutne przeznaczenie, któ-

re tak ściga narody, jak pojedynczych ludzi? A przecież ja przysięgłem, i kilka dni temu naczelnicy *Połączonych Irlandczyków* przybyli aż tu, przypomnieć mi przysięgę moją. Nie zapomniałem jej jednak, czy wiesz przecież druhu stary, com odpowiedział przedstawicielom nieszczęśliwego narodu? Śmierć tylko może mnie rozwiązać z danego wam słowa — lecz nie rozwiąże nawet ona. Gdy umrę, stanie na mojem miejscu drugi ja; bije w nim takie same jak we mnie serce, bo kocha on to wszystko, co ja kocham i szanuje wasze prawa, które nie mają przedawnienia. Jeżeli mnie nie stanie, on mnie zastąpi, mój przyjaciel, generał Humbert, zatem nie upadajcie na duchu i bądźcie gotowi. Jesteśmy ludem pobratymczym i galijska chorągiew, którą rozwinie my wspólnymi siłami, powieje wkrótce na tem polu chwały, które musi się stać grobem wspólnego naszego wroga — Anglika, Sassenacha!...

Hoche był w tej chwili niewymownie piękny zapałem, który wlewał w niego nowe życie.

— Bracie — mówił dalej, wskazując Humbertowi na tekę, którą miał przy sobie pod poduszką — tu znajdziesz wszystkie moje notatki i plany, instrukcje, które czując się już słabym pisałem dla ciebie. Jest tu także mój list do Dyrektoryatu. Gdyby nawet nie miano ci dać więcej wojska nad dwa pułki Sambre-et-Meuse, które już wyprawilem w drogę, i które, gdy ja tu leżę powalony, maszerują ku wybrzeżom Bretonii, nie wahaj się. Armia Irlandzka wystąpi jak z podziemi, skoro tylko ozwie się od morza nasze hasło, zagra nasza galijska trąbka. Więc śmiało, druhu mój, śmiało, a przede wszystkim: prędko!

— Tam niecierpliwość pożera serca, tam zapal ludu już się nie daje podwstrzymać a chytróść angielska drażni jeszcze wzburzonych, podsyca ogień, bo chce przyspieszyć wybuch, aby go zdławić zanim przybędziemy z pomocą, co byłoby śmiercią przedsięwzięcia, bo wtedy nie mielibyśmy się już oprzeć na czem i przepadłoby wszystko. Niech czekają, zatem, o! na miłość Boską, niech czekają: póki chorągiew nasza nie powieje na ziemi Irlandzkiej, niech się nikt nie ruszy: niech wszystko mileczy i sposobi się do dzieła w ciszy i tajemnicy. Jest to mój rozkaz, obowiązujący aż do chwili, gdy wydasz inny z pierwszego placu boju; od jego wykonania zależy powodzenie, lecz kto go zaniesie do Irlandyi? o! kto?... Myślałem o tem przez całą noc bezsenność, dręczyłem się, nie mogąc znaleźć odpowiedniego posła, aż nagle dziś zesłał mi go los...

Tankred de Gaillefontaine od kilku chwil był już w pokoju i słuchał mowy Hoche'a, stojąc na boku. Chory zwrócił się też teraz do niego:

— Słyszałeś pan — rzekł. Czytam w twoich oczach, że zrozumiałeś mnie i dodam tylko pytanie: żali nie jest to żądaniem pana, aby służyć Francyi, nie wehodząc jednak w szeregi rzeczypo- politej?

Tankred skłonił się wzruszony. — Dziękuję ci, generale — rzekł. Kiedy każesz jechać i do kogo się zwrócić.

— Jedź pan zaraz jutro. Jako emigrantowi, łatwo ci będzie dostać się do Anglii.

— Bardzom rad z tego, że to tam — zawołał młodzieniec żywo. — Potrzebowałem właśnie być w Londynie. Mam tam widzieć się z kimś, który mnie oczekuje...

— Wiem, kto to jest: Armstrong... prawda? Wyzwałeś go, aby zabić za to, że hańbi mundur wojskowy, stając się narzędziem podłych zamiarów.

— O! generale — wykrzyknął Tankred — chce go zabić za to, że ten człowiek postawił mnie w okrutnem położeniu bez wyjścia. Ja i mój przyjaciel, który pisał list, dowiedzieliśmy się mimowoli i bez żadnej chęci współudziału o zamiarach Armstronga, o którym wiedzano tylko między naszymi ochotnikami, że jest to emissaryusz,

z Anglii przysłany. Po co, w jakim celu? nie badałem nigdy, sądziłem, że missya jest polityczna, gdy naraz zaproponowano mnie i kuzynowi memu współudział w zbrodni. Odepchnięliśmy propozycję ze wzgardą, nie dowiedziawszy się nawet dróg, jakich chciano użyć, nie wiedząc i tego, że to już jest dalszy ciąg potwornego dzieła. Ty generale, objaśniłeś mnie dopiero pod tym względem, lecz jakże strasznie stało się położenie moje? Tam w obozie, o!... wszędzie, wszędzie, powiedziano by, że okupił życie zdradą: że wydał Armstronga, aby się uwolnić. Zostawało mi już tylko włożyć sobie lufę pistoletu w usta...

— Dla tego głównie puściłem wolno zbrodniarza, a raczej szaleńca fanatyka. Aby nie padł żaden cień na dobrą twoją sławę, młodzieńcze, nie użyłem praw moich...

— Generale! czyż biło kiedy na ziemi szlachetniejsze, lepsze od twego serce!... wykrzyknął Tankred de Gaillefontaine.

— Przestanie ono wkrótce bić... Jeżeli przecież uważasz, że nie jest ono podle, że czuło co to jest honor i wyższa dostojność człowieka, to proszę, przypomnij sobie zarazem, że jednak pierś, w której uderzało, nie była szlachecką. Syn ludu umie, jak widzisz, czuć tak samo, jak syn krzyżowców: umie kochać ojczyznę swoją i unieść po nad starcią życiowe niesplamioną nigdy godność ludzką. Nowa szlachta, p. wicehrabio, tworzy się za dni waszych i nie możecie jej odsądzić od tego, że staje się równą wam: kocha Francję, nie mniej od was, daje za nią krew swoją tak, jak wasi ojcowie dawali ją niegdyś i tylko różnica jest ta, że nie żądamy w zamian przywilejów.

— Generale, ty szlachectwo twoje wzięłeś od Boga. Wierzyłem zawsze w takie szlachectwo: wierzyłem w arystokrację duchów jedynie i dla tego, jak już wiesz, chętnie i szczerze, rzekłem się przywilejów moich a przysięgam ci na uczciwość moją, że prawie cała szlachecka młodzież francuska, czuła podobnie i gdyby nie nieszczęsny obłęd, nie zapamiętała rzućcie się...

— O!... o!... zawołał Humbert, wydymając pierś, ale Hoche mu przerwał. Ujął go za rękę, jak się czyni z dzieckiem, aby siedziało spokojnie. — Panie wicehrabio, — rzekł — pamiętaj zawsze przy sądach twoich o historii narodów, że serca ludzkie są to wulkany. Im dłużej były zamknięte, tem wybuch, który przychodzi za otwarciem się krateru, jest straszniejszy. Że pałaca lawa musi się wylać niszcząc, są to prawa natury...

Młodzieniec snadź czuł to samo, bo milczał, a Hoche dodał: — Zaciągnęłeś się pan do służby publicznej z chwilą, w której, zgodziłeś się na propozycję moją, zatem twoja prywatna sprawa z Armstrongiem musi zostać odłożoną. Należy panu jechać wprost do Irlandyi, a ponieważ biłeś się za Amerykę, musiałeś poznać wielu Irlandczyków i ztąd masz tam zapewne stosunki jakie?

— Znam lorda Fitz Gerald.

— Lord Fitz Gerald... o! szlachetne to serce, ale list, który przygotowałem już dziś rano, jest do kogo innego: do O' Connora. Do niego zwrócisz się najpierw i jemu, jak Fitz Geraldowi, jak każdemu, uczciwemu Irlandczykowi, który kraj swój kocha, powtórz coś słyszał odemnie. Niech nie tracą ducha, ale umieją hamować zapal. Niech się zdobędą na cierpliwość, i poczekają jeszcze troszkę... jeszcze troszkę. Łatwo ci przyjdzie panie wicehrabio porozumieć się z naczelnikami *Potężonych Irlandczyków*, bo wszystko to są rycerskie dusze.

Zdawało się że wstrząśnięcie przebyte zbawienie oddziało na chorego; cierpienia ustąpiły, i po rozstaniu się z Tankredem de Gaillefontaine zachciał widzieć przyjaciół i towarzyszy broni: Ney, d' Hautpoul, Lefebvre, Klein, Grenier, Championet, Richempanse, zgromadzili się w koło niego, a on dziękował im za przychylność, za przyjaźń, okazywaną mu zawsze i rozmawiał potem spokojnie, z uśmiechem przeszło godzinę. Takim musiał być Katon Utycki, otoczony przez dowódców legionów; takim Sokrates wśród uczniów po wypiciu cykuty.

Mówiono o Francyi. Wolność i prawo, postęp i uchronienie świętości rodzinnego ogniska dawało przedmiot do rozmowy, w której Hoche brał główny udział. Był to jakgdyby testament uczuć jego i myśli, podany słownie. Mówił też tak swobodnie, jak człowiek, który odchodzi już z ziemskiego świata i traktuje sprawy ludzkie z punktu górującego po nad wszelkim interessem osobistym. Przecież nie było w jego słowach nic surowości, nie cierpkiej goryczy, a przeciwnie wielka pobłażliwość, wyrozumiałość, litość w miesse gniewu nad brakami i błędami ludzkości nadawała jego mowie charakter szczególny. Ci, co go przeżyli, opowiadali zawsze, że to były prośby; ostrzegał, radził, upominał, dodając ustawicznie: — O! niech wolność opiera się na prawie, niech nie będzie nigdy gwałtem, bo wtedy właśnie wywoła opór i przestanie być boginią dobroczynną. Do wolności nie trzeba ludzi zmuszać: podnieśmy ją tylko na królową Francyi, a nietylko ona cała ubóstwi ją, ale ludy będą do nas przychodzić ze wschodu i zachodu, i uczyć się od nas, jak mają czynić, aby pozyskać szczęście i wielkość.

Ale się zmęczył choć mówił spokojnie, i oczy zaczęły mu się przymykać. Generałowie wyszli z boleścią w sercu i została tylko żona, tłumiąca płacz. Obudził się niedługo, chwytając z trudnością powietrze w piersi i był to początek konania: nad wieczorem umarł.

Pogrzeb był wspaniały i charakterystycznie wzruszający. Postanowiono złożyć zwłoki Hoche, obok Marceau, który podobnie zginął młodo i zostawił też blaskiem bohaterskiej sławy opromienione wspomnienie. Orszak żałobny wyruszył zaraz nazajutrz, wszyscy generałowie i cały sztab otaczał wóz żałobny, przed którym niesiono chorągwie armii, z godłem żałoby. We wszystkich wioskach, przez które ciągniono, bito w dzwony, a część tę ostatnią oddawał zmarłemu lud wiejski dobrowolnie i z własnego natchnienia, jako szlachetnemu zwycięzcy, który nigdy nie znecał się nad zwyciężonym i zawsze usiłował łagodzić dlań te kłeski okrutne, które wojna wiedzie ze sobą. Był to dziwnie wzruszający hołd i Francya może też zapytać dziś Niemcy, żali jest pomiędzy ich wodzami choć jeden, któryby zmarłszy w 1870 roku na ziemi Francuskiej, zdobył sobie takie uznanie, otrzymał podobne honory pogrzebowe?

W Braunfels książę panujący czekał na placu z odkrytą głową; kiedy przeciągano mimo fortyfikacji Ehrenbretstein, twierdza, jeszcze będąca w ręku nieprzyjacielskim, zabrziała salwą wszystkich dział swoich, a cała załoga, stojąca na wałach w szyku wojennym salutowała, trumnę. Wreszcie otworzyły się bramy, dowódca wystąpił z nich i aż do brzegów Renu towarzyszył konduktowi z eskortą. Postępowano wśród szpaleru dwóch szeregów, z których jeden tworzyli żołnierze francuscy, a drugi Austriacy, wreszcie przebyto Koblenca i zwrócono się ku wyżynom Petersburgu, gdzie czekał grób, już gotowy. Część korpusu Sambre-et-Meuse czekała tam wodza swego pod bronią.

Po mowach generałów, wystąpił prosty żołnierz, grenadier, zaprezentował broń przed trumną, na którą złożył wieniec dębowy. — Generale — rzekł — daje ci to armia francuska...

Rozpłakał się i dość było tej wymowy — łez. Pogrzeb skończył się o zmroku, i gdy cała pompa urzędowa oddalała się w porządku, przyjaciel tylko pozostał jeszcze na grobie. Był to generał Humbert, ukrył twarz w dłoniach, a może zasłonił niemi łzy, gdy zbliżył się zwolna ku mogile ktoś drugi i ukląkł pobożnie na świeżo wzruszonej ziemi. — Ach! rzekł wtedy Humbert — to ty p. wicehrabio... Wszak nie myłę się?

— Nie; przybywam tu, aby złożyć ostatnie westchnienie pożegnania na mogile wielkiego człowieka. Zatrzymałem się z moją podróżą dla tego.

Uściskali sobie ręce, jak bracia. — Zobaczmy się w Irlandyi — rzekł Humbert.

— Spodziewam się tego generale, — Do widzenia...

IV.

Na morzu i lądzie

Piękna gołetka angielska: *City of Bristol*, płynęła z rozwiniętymi żaglami ku brzegom Irlandckim, niosąc na swym pokładzie Tankreda de Gaillefontaine, który jednak nie bez trudności dostał się na nią. Trzeba mu było uzyskać sobie w kolej cztery paszporta: Heski, aby otworzyła mu się granica Holandyi, Holenderski, na przeprawę z Rotterdamu do Londynu; jeden angielski z Londynu do Bristolu, drugi z Bristolu do Corku, lecz za tym wolno mu już było jechać następnie do Dublinu.

Kosztowało to niemało zabiegów, przyczem wicehrabia przebył długie badania śledcze: Kto jest, po co jedzie do Irlandyi i jak długo przebywać tam będzie? Odpowiedź jego brzmiała zawsze jednakowo. Tak w biurze paszportowym, jak i wszystkim poznanym w drodze osobom opowiadał o sobie jednakowo. — Jestem emigrant francuski i jadę do Irlandyi dla przyjemności i z chęci poznania obcego mi kraju, w którym nie wiem jak długo pozostanę? Niemcy i Włochy już znam, chce zwiedzić Irlandyę.

W Londynie przecież potrzeba nakazywała mu odślonić nieco przyjęte incognito.

Należało mu być u pułkownika Armstronga i oświadczyć, że okoliczności zmuszają go odroczyć pojedynek. Przychodziło mu to przykro, ale nie mógł postąpić inaczej: Hoche miał słusność twierdząc, że człowiek w służbie wielkiej sprawy, czy wielkiej idei, nie posiada praw do wolnego rozrządzania własną osobą i wicehrabia opatrzywszy szpadę w pochwie, wyruszył na Londyn, wedle adresu danego mu niegdyś przez Armstronga. Ale daremnie obyczajem owego czasu kazał się nieść w lektyce na wąską i ciasną ulicę, daremnie potem wdrapał się na ciemne wschody i pukał, Bóg wie jak długo do drzwi mieszkania Armstronga, znalazł bowiem, nie jego, ale tylko list, zostawiony przezeń do siebie. Krótki był i niewyłuższający powodów. — Daruj pan, p. wicehrabio, że nie mogę oczekiwać na ciebie w terminie, w którym oznaczyłeś dzień naszego pojedynku — pisał nieobecny. — Dopóki przecież bawisz się na ziemi Angielskiej, należy mi mieć nadzieję, że spotkać się możemy ze sobą lada dzień: dziś lub jutro. Zatem żegnam pana do widzenia...

Tankred o mało nie klasnął w ręce. Odwołka nie pochodziła od niego, i uczucie młodzieńcze, które zasługuje na nazwę inną, niż próżność, nappełniło mu serce radością. Ale nie znalazł już na dole lektyki i nosicieli, trzeba mu było przebywać pieszo część miasta ciemną już o zmroku jak noc, w której nie wiedział, czy nie zabłądzi? Na szczęście błądził tylko, przyczem jednak doszedł do przekonania, że jakaś podejrzana osobistość towarzyszy mu trop w trop. — Przynosi to zaszczyt czujności policyi Angielskiej, że się tak zajmuje cudzoziemcami — rzekł sobie, że przecież nie myślał zatrzymywać się w Londynie, nie go to nie obeszło. Nazajutrz też płynął do Irlandyi wesoły i spokojny. Kto tak, jak on był już u wrót grobu i cudem prawie został wrócony do życia, a jest przytem zdrowy, młody i pełen sił, cieszy się już tem, że istnieje i ma słońce nad sobą a ziemię pod nogami. Przytem niebo było pogodne, wiatr przychylny, a morze i powietrze błękitne, więc oddychał pełną piersią rad ze siebie i ludzkości całej. Była niedoskonała — to prawda, ale on mógł waleczyć ze złem, a dawać poparcie dobremu i czuł lekkie serce w piersi.

Pokład był pełen podróżnych. Byli to przeważnie kupcy i wojskowi, nikt prawie nie zeszedł do kajuty, lecz używając pięknego dnia podzieliło się na grupy i rozmawiano, że zaś Tankred de Gaillefontaine umiał po angielsku, a nawet w czasie wojny Amerykańskiej wyuczył się biegle tego języka, nadstawiał ciekawie ucha i słuchał

rozmów, które często zwracały się do polityki, do wzburzenia, nurtującego w Irlandyi. Powstanie — jak utrzymywano ogólnie — zostało zgniecionem w zarodku; już tylko resztki band, które nie dopuszczono nigdy do zjednoczenia i uorganizowania wybuchu, wałęsały się po górach i lasach. Wymieniono kilka nazw wodzów, a raczej ludzi podejrzanych o to, i odpowiadających teraz w więzieniu za udział w zamieszkach. Tankred przecież nie usłyszał żadnej wzmianki o lordzie Fitz Gerald, lub O' Connorze, że zaś były to osobistości za ważne, aby pomijano je przez zapomnienie tylko, cieszył się, że nie jest jeszcze tak źle, jak sądzić by można ze słów zasłyszanych. Irlandya umiała być cierpliwa: czekała.

W pośród pospolitego tłumu podróżnych wyróżnił Tankred młodzieńca, dwudziestoletniego może, a odznaczającego się wyrazem twarzy razem myślnym i energicznym. Wysoki, szczupły, miał w układzie coś książęcego, trzymał się na uboczu, a wciągany do rozmowy zachowywał rzadką powściągliwość języka.

Gdy wieczór nadchodził usunął się nieznacznie na bok i wpatrywał w dal, jakby przebijając stęsknionym wzrokiem mgłę zapadającej nocy, chciał dojrzeć wybrzeża dalekiej jeszcze Irlandyi. Skoro przecież blask latarni morskich już mu ją zwiastował, Tankred dojrzał jak oczy młodzieńca zaświeciły płomieniem, lecz razem brwi zściągły się surowo czy boleśnie i Tankred powiedział sobie: — To będzie kiedyś człowiek...

Nazajutrz, dla tego zapewne aby zostawiono go w pokoju, siadł z książką na stole pak z towarami i czytał. Raz przy silniejszym przechyleniu się okrętu, książka z rąk mu wypadła i potoczyła się pod nogi Tankreda, który grzecznie ją podniósł i oddał właścicielowi. Spojrzał przecież na tytuł i dostrzegł że jest Francuzka. Dzieło było wyborowe: *Discours de Mirabeau*. — Znasz pan język francuzki? zapytał też, gdy młodzieniec podziękował mu za zwrot książki.

— Kończyłem nauki we Francyi — odrzekł, w kolegiem jezuitów w Sant-Omer. Wracam właśnie ztamtąd, gdzie przepędził pewną część wakacyi.

— Wakacyi!... Ależ pan nie jesteś już zapewne uczniem?... zapytał Tankred.

— Nie, rozpocząłem już zawód prawny. Jestem adwokatem w Dublinie.

— I jesteś pan Irlandczykiem. Przysięgł bym, że z dobrego gniazda...

Młodzieniec się uśmiechnął. — Moja genealogia ma gdzieś w wierzchołku swego królów, a właściwiej naczelników klanu Inverary.

W Tankredzie, mimo wolnomyślnych przekonań, krył się zawsze szlachcic i przysuwając się bliżej do młodzieńca, zapytał: — Jakże się to stało, że pochodząc z takiego rodu i mając taką postawę rycerza, nie obrałeś pan raczej wojskowego zawodu?

— Bo niema wojska Irlandzkiego — odparł młodzieniec.

— W każdym wojsku nabyłbyś pan wprawy w rzemiosło, które w pewnych chwilach mógł być użytkowe dla kraju — ozwał się Tankred.

— Potrafił bym i bez wojskowości wiać w rękę pałasz lub karabin — rzekł młodzieniec żywo i dumnie. I gdyby wypadła kiedy tego potrzeba...

Ale zatrzymał się nagle i dodał. — Według mego przekonania narody nie odbudowują się samą siłą pięści i potrzeba im czegoś więcej jeszcze, a są powołania, wymagające niemniejszej odwagi, niemniejszego poświęcenia, jak żołnierstwo. Słowo jest także bronią ogromnego znaczenia, jeżeli oddane w służbę sprawy ojczyste, będzie się podpierać wolą nieugiętą i nigdy, przez nic, od celu swego nie zostanie odwróconą.

Wicehrabia nie będąc zwolennikiem systemu, uklonił się tylko nieznajomemu, przepraszając za natrętne może pytanie. Przecież ten nieznajomy, który zdawał się przewyższać go nie tylko wzrostem, pociągał go do siebie sympatycznie i chciał porozmawiać z nim o stanie Irlandyi, ale za pierwszym słowem odebrał odpowiedź przecinającą stanowczo rozmowę. — Mówmy raczej o Francyi

— rzekł. — Ojczyzna moja nie jest krajem wolnym i zbliżając się ku jej brzegom należy mądrze nauczyć się sztuki milczenia.

— Do licha! odparł Tankred urażony — jesteś pan dziwnie ostrożny na swój wiek.

— A pan — pozwól sobie to powiedzieć — jesteś nim za mało na swój.

— Co pan przez to rozumiesz?

Pytanie było rzucone prawie ostro, ale nieznajomy młodzieniec przyjął to obojętnie. Już poprzednio mówił pół głosem, teraz przecież był to szept prawie, gdy dotykając delikatnie ręki wicehrabi, rzekł: — Spójrz pan po za nas...

Tankred odwrócił się żywo i spostrzegł między pakami jakiegoś jegomościa w zielonym ubraniu, które zwano wtedy: *Carrick*, leżącego jakgdyby ułożony tam do snu. Ale szybki ruch Tankreda pozwolił mu spotkać się ze spojrzeniem otwartych i jakgdyby ciekawie wytrzeszczonych oczu, które przecież przymknęły się natychmiast, aby otworzyć się potem jak u kogoś, budzącego się dopiero. Przeciągnął się, ziewnął kilkakrotnie, a po chwili wstał i poszedł.

Młody adwokat przytrzymał tym czasem pierwszy gniewny ruch Tankreda. Ujął go silnie pod ramię i nie dał mu się odwrócić. — Udać pan ze się nie domyślasz niczego — rzekł. — Szpieg przestaje być niebezpiecznym, gdy odkryty jest, a nie wie o tem.

— Szpieg! Kogoż zatem szpiegują? Mnie, czy pana?

— Może nas obu — odparł potomek Inverarskich królów. Tankred postanowił usłuchać rady, ale udając wesołą lekkomyślność, nie spuszczał oka podróżnego, którego nazwał zrazu *zieloną suknią*, a potem Carrickiem. To ostatnie przewisko należało mu się z prawa, grał bowiem wybornie swoją rolę. Z początku, bojąc się widocznie, aby Tankred nie poczęstował go choćby tylko płazem szpady, trzymał się oden zdaleka, ale potem, szczególnie gdy już mrok padać zaczął, był ustawicznie gdzieś koło niego, a zawsze w tak zręczny sposób, że nie można było go zapytać: — A co tu robisz?

Tymczasem noc okazała się tak stale pogodną i ciepłą, że wszyscy prawie przebyli ją na pokładzie. Tankred z płaszcza i pęku lin zrobił sobie łóżko i pościel, na której spał błogosławionym snem młodości. Przecież obudził się bardzo rano i pierwszym przedmiotem, na jaki spojrzał, był domniemany szpieg, śpiący teraz rzeczywiście na pace z bawełną. — A rzekł też sobie — to zatem mnie pilnuje ten anioł stróż...

Statek wpłynął wkrótce w tę pysznie piękną zatokę, którą Moore nazywa w poezjach swoich: *morzem Corku*. Tworzy ona jakgdyby wpaniałe, gładkie, ciche jezioro, ujęte w czarowny sposób ramami fantastycznych wzgórz. Stare, ciemne bory, słizne zielone gaiki i wonne ogrody, wdzięczne, wesołe domki a gdzie niedaleko piękne wille rozrzucone są malowniczo na stokach i wyżynach najrozmaitszej załamujących się brzegów. Szczególniej też przy blaskach wschodzącego słońca była to panorama, którą Irlandczycy słusznie równają z pięknnością Bosforu.

Łodzie przewozowe już przybywały po podróżnych i Tankred podszedł ku młodemu adwokatowi, który zwinawszy pled, dzwigał skórzany kuferek z wyraźnie wypisanymi głoskami: *D O' C*. — Panie adwokatcie — rzekł mu — myślę przepędzić w Irlandyi kilka miesięcy, gdyby więc zaszkodził mi jakiś process, jak należałoby mi dowiadywać się o pana?

— Daniel O' Connel... odpowiedział młodzieniec.

Uściskali sobie ręce i wsiedli do jednej łodzi. Argusa ich nie było w niej, ale znalazł się zaraz na tamie nadbrzeżnej, a droga jego prowadziła snadź w tę samą stronę, którą zwrócił się Tankred. Cork jest drugim po Dublinie miastem Irlandyi, przecież w tym czasie, o którym piszemy, nie było tu jeszcze wspaniałych hoteli, jakie dziś podróżny znajduje wszędzie. Najlepszą, a raczej majmniejszą była gospoda pod *Wielkim królem O' Donaghue*, i Tankred tam się udał, a spojrzenie które

rzucił po za siebie przekonało go, że stróż jego w zielonej szacie idzie tuż za nim. Gdy przecież wyjrzał po chwili już z okna pałacu króla O' Donaghue, spostrzegł, że teraz stał on się towarzyszem młodego adwokata i postępował stale za nim. O' Connel dwa razy potrzebował przejść przez ulicę, okrążając mały plac, którego wszędy nie chciał przebywać dla tłoku, i *zielona suknia* kierowała się wciąż tak samo, Tankred podzielił też teraz przekonania towarzysza podróży, że troskliwy ten opiekun dodany jest zarówno im obu.

— Wymknę mu się przecież — rzekł sobie, więcej wesoło niż gniewnie i natychmiast zawezwał do siebie, oberżystę. — Mości Filipie! zawołał, przypominając sobie imię wyczytane na sztyldzie — proszę tu do mnie. Najpierw śniadanie, ale to natychmiast a potem objaśnienia, których potrzebuję. Jedno i drugie płaci się dobrem holenderskim złotem, ale też i to co dostanę musi być w najlepszym gatunku.

V.

P a t.

Tankred należał do tych umiających rozkazywać ludzi, którzy też zawsze bywają dobrze obsłużeni. W dwie minuty po zażądaniu śniadania, podano mu wcale dobry pasztet ze zwierzyny, butelkę portu, i talerz owoców na deser, przy którym zaraz rozpaczął rozmowę z gospodarzem. — Mości Filipie, jak daleko ztąd do Gourgame — Barra? zapytał, a że miejscowość ta była posiadłością O' Connora, wiadomość, której zasięgał była dlań wielce ważną.

— Trzydzieści pięć mil irlandzkich, co niech Wasza Cześć zamieni sobie na dwanaście mil francuzkich, a będzie wiedzieć dokładnie odległość.

— No, to niedaleko, czy można dostać się tam dylizansem?

— Dawniej bywało, że dylizans chodził tamte, ale gdy kilkakrotnie zatrzymano go i rozbito, poczmistrz nie chce już ryzykować... Gourgame — Barra leży w górach.

— Ale można wiać ekstrapocztę i powóz, a w ostatnim razie wierzchowego konia, dobrego konia przecież...

Gospodarz podniósł oczy w niebo. — Wierzchowy koń u nas to rarytas. Rząd zabrał wszystkie dla draganów, *wrzosowiaców* i innych czerwonych mundurów — niech ich piekło pochłonie, nie wyjmując czarnych.

— Macie tu ułanów?

— Mamy panie, przyciągnęło to z Hessyi, z Pruss. Niech Pan Bóg broni Waszą Cześć od spotkania się z niemi w drodze. Zbójcy prawdziwi.

— O! znam ja ich — odparł spokojnie wicehrabia, raz jeszcze powracając do pasztetu. Ale zajmijmy się naszą najważniejszą sprawą: koniem.

— Niech Wasza Cześć raczy poczekać. Zawołam Pata.

— Pata? Co to jest?

— Mój dawny służący. *Pat* znaczy w skróceniu *Patryk*, które to imię, jak Wasza Cześć wie może, jest u nas narodowe, albowiem S-t *Patryk* to patron Irlandyi. Niewiele uprosił nam u Pana Boga, ale cóż robić... *Pat* jest uczciwym chłopcem, odprawilem go ponieważ czasy są ciężkie, ale wiem, że jest tu gdzieś blisko. Włóczy się koło domu, w nadziei że go kto zapotrzebuje, jak właśnie teraz Wasza Cześć. Oto jest, jak na zawołanie, tam oto na tamie, łowi ryby na wędkę. Hej, *Pat*! prędeży...

Gospodarz w poufaly sposób, wołał swego dawnego sługi z okna, przez które wyjrzał i wicehrabia dla zobaczenia Pata. Stał on nad wodą i widziany w mgłę porannej zarysowywał się w kształt bardzo podobny do czapli. Na głos swego da-

wnego pana Pat obrócił żywo głowę, poskoczył i w moment słycać było zapukanie do drzwi.

— Wejdz — zawołał gospodarz, lecz za drzwiami coś zamiauczało, jak kot. — W wielkiej czy w małej liberyi? zapytał głos do sztucznego basu podniesiony.

— Jak ci się podoba — odparł gospodarz i w tej chwili drzwi się otworzyły i ukazała się na progu najpociesznieszka postać pod słońcem: chłopak młody, giętki i zręczny jak chart, chudy jak szkielet i ztąd cienki jak szparag. Nogi i ręce zdawały się też niepomierne długie, oczy małe błyszczały jak iskierki, usta miał ogromne, nos zadarty, włosy lnianno żółte. Ubiór przedstawiał przytem coś nieopisanego: była to rzeczywiście liberya niegdys barwy zielonej z czerwoną, suto oszywana galonami, lecz obecnie wypłowiała, porozrywana, łatana tak, że razem tworzyła łachman. Przecież Pat zdawał się być dumny z tego stroju: podniósł kołnierz surduta do góry, podwiązał go kawałkiem galonu, świeżo oderwanego od rękawa, przy którym wisiał i ukłonił się gościowi w tak konieczny sposób, salutując po wojskowemu, że wicehrabia wybuchnął śmiechem. — Wasza Cześć żądała mnie i jestem, jestem do usług. Co Pat ma robić, jakie są rozkazy Jego Cześci? Oprowadzać po mieście, lub czyścić buty Jego Cześci? Wszystko zrobię: potrafię nakrywać do stołu, odkorkowywać butelki... i lykac z nich.

Tankred de Gaillefontaine już się teraz nie śmiał. Miał przed sobą typ biednego irlandzkiego Paddy: wychudłego, wygłodzonego, wesołego z natury, a efronta przez nędzę, przez potrzebę zarobku, przez poniżenie i ciemnotę, wśród której lekkomyślność, nieopatrzność, niedbałość, stanowiąca na nieszczęście tło przyrodzone charakteru Irlandzkiego, nie umiała sobie radzić i tłumić całe zapadły w ten stan smutny, który musi boleć ciężko każdego szanującego ludzką osobę człowieka. Lud irlandzki przygnieciony i opuszczony razem, nie mający nad sobą po wsiach szlachty własnego pochodzenia, więc bez żadnej podpory duchowej, marniał wśród wad swoich, a nawet jego cnoty: ogromna miłość rodzinnej kęty, wielka dobroć serca, łatwowierność, poetyczność i uczuciowość, która raz doprowadzała go do zgubnych wybuchów zapалу, drugi raz pogrążała w apatię i martwość — jego cnoty nawet stawały przeciw niemu w walce z zimnym, konsekwentnym, surowym John Bullem. Gardził on nim teraz, zdemoralizowawszy go, zatamowawszy naturalny rozwój jego życia, i wtrąciwszy przez niemiłosierne panowanie nad nim, przez wyzyskiwanie go, przez chwytywanie mu z rąk wszelkich możliwych korzyści, w stan najokrutniejszej nędzy fizycznej i moralnej. Tankred de Gaillefontaine patrząc teraz na śmieszny mimikę Pata, na jego nędzę, na brak godności i poniżenie, którego nie czuł już, nieszczęśliwy! zrozumiał dla czego Hoche, nazywał wyprawę do Irlandyi wojną świętą, wojną krzyżową. Ocalić ten biedny lud od wpływów, które go rozkładały i demoralizowały coraz silniej, było wielkiem dziełem szlachetnego uczucia ludzkości i w tej chwili Tankred de Gaillefontaine przysięgł sobie, że poświęci dla tej sprawy całą siłę swą młodości, której nie dano pola aby służyła ojczyźnie własnej.

Przez czas tej jego smutnej z myślami swemi rozmowy, Pat, sądząc się w milczeniu podziwianym, błaznował coraz więcej, mieszając do lichej angielszczyzny galijskie wykrzykniki: O! Arrah! Muscha! Hillo! Hillo hou! aż gospodarz przywołał go skinięciem do porządku i wytłomaczył o co chodzi. — Jego Cześć chce konia i dobrego konia, aby pojechać na nim w góry — rzekł, a Pat klasnął radośnie w dłonie. — Mam go! zawołał — mam wierzchowca, godnego Jego Łaskawości. Cud że nie chodzi jeszcze pod siodłem dragońskim i chcą go właśnie sprzedać... tanio, tanio sprzedać: sześć funtów szterlingów!... coż czy nie tanio?

Wynajmując dziennie trzeba płacić cztery szylingi.

— Wynajmę na dnię — odparł Tankred. Może przecież zechcę go kupić z czasem, jeżeli będzie mi tego potrzeba.

— O! będzie on niewątpliwie potrzebnym Waszej Cześci, a zarazem i przewodnik... Prawda? Przewodnik jest koniecznym w podróży i dla czegoż nie miałby być nim uniżony Wasz sługa: Pat?... Pat niezły chłopak i ma liczną rodzinę.

— Czyż pieszy przewodnik może się zdać na co jeźdźcowi? zapytał Tankred, lecz Pat wyciągnął to jedną, to drugą nogę, dowodząc wymownie że jestto para najlepszych biegunów w całym hrabstwie Cork. — Wasza Cześć zobaczy jak to umieć nie tylko truchtem, ale i biedz galopem: patataj, patataj... Na kiedy koń i przewodnik ma być gotów?

— Powinien stanąć tu na podwórzu za pół godziny — odpowiedział Tankred, dając chłopcu kilka srebrnych szylingów na zadatek. Gdybym go miał za kwadrans podwoiłbym zapłatę, potroił nawet.

Twarz jowialnego paddy uległa teraz naglej i nie dającej się naprzód odgadnąć zmianie. Radosć, ta głęboka, prawdziwa radość, która może wypływać jedynie z wielkiego uszczęśliwienia, zaświeciła mu w oczach i zmieniła całe oblicze, skoro tylko pieniądże dotknęły jego dłoni. Podniósł jedno ust, ucałował pobożnie, jak relikwie, mówiąc. — Bądźcie błogosławione grosze dobrego Boga. W domu Pata będą kartofle! będzie placek owsiany.

— Placek owsiany... powtórzył z niewypowiedzianym radością i wdzięcznością ku Tankredowi zwróconym uśmiechem. Łzy popłynęły mu przytem z oczu jak groch, a ten uśmiech tklawie wesoły i błyskający przez łzy, dziwnie wzruszył młodego Francuza. On sam nie zaznał nigdy braku; znaczne summy gotówki uratowane przed ujściem z ojczyzny, zapewniły mu spokojny i wygodny żywot, ale przypominał sobie innych emigrantów, całe rodziny pogrążone w nędzy i sereścisnęło mu się niewymownie. Przecież w tej chwili musiał się rozśmiać, bo Pat przechodząc nagle z patosu w komikę, dał u drzwi coś, jak koziołka, i wołając. — Hillo-hou! Hillo hou! zniknął w korytarzu.

— Biedna to dusza ale uczciwa — rzekł gospodarz. Wasza Cześć może mu ufać pod każdym względem: nigdy i za nie zdradzi, nigdy nie przywłaszczy sobie własności cudzej.

Ledwo że Tankred zdążył przekonać się, że list Hocha znajduje się zawsze bezpieczny między podszewką a czarnym aksamitem jego kamizelki, tak zrećźnie zaszyty w miejscu, gdzie wypadało szamerowanie, że nawet w razie ścisłej rewizyi, nie łatwo by go znalezione, usłyszał pod oknem gabinetu, wychodzącym na wewnętrzną dziedziniec. wesoły wykrzyk — Arrah! ma Bauchal... i ujrzał Pata, prowadzącego za uzdę małego górskiego podjezdka, tak wychudzonego, jak on sam. — Muschal rzekł filozoficznie, widząc że oczy Tankreda przyglądają się podejrzliwie zachwalonemu rumakowi. — W Irlandyi tak ludzie, jak i bydła nie bywają spaseł. Tylko Sassenachy tu się tuczą.

Ponieważ nie było nic lepszego do wyboru, a Gaillefontaine się spieszył, kazał więc tylko dać konikowi podwójną rację owsa, Pata zaś obdarzył pokazną resztą pasztetu, i przypasawszy szpadę, opatrzywszy panewki kieszonkowych a wybornych, w Amsterdame świeżo kupionych pistoletów, zapłacił rachunek za spożyte śniadanie i dosiadał już siodła, gdy gospodarz wyniósł i podał mu uroczyste wielki kielich, wysoki i wązki jak do wina szampańskiego, lecz mający w miejsce podstawy kulę, która tworzyła półkwartową przynajmniej bańkę. Wszystko to było napełnione po brzegi ponczem na szkockiej, a za-

razem i irlandzkiej wódce: Whisky. — Niech Wasza Cześć raczy wypić na odjeździe strzeżennego: droch - am - durass — rzekł z niskim ukłonem. Pójdzie to na zdrowie Waszej Cześci i na honor tego domu...

Tankred, tak zagadnięty, nie mógł odmówić, lecz umaczał tylko usta i podał kielich przewodnikowi. — Kolejka — rzekł wesoło, a paddy chwycił już pochwyty napój, gdy nagle wmieszanie się gospodarza stanęło między czarą, a jego ustami.

— Pat! zawołał uroczystym głosem i uroczystej jeszcze podniósł palec do góry. — Pamiętaj...

I zdawało się że nieszczęsny Pat nagle skamieniał. Nie odsunął ani na włos kieliszka od ust, ale też nie przyłożył ich do niego i Gaillefontaine wstał się za biedakiem. — Dla czego nie ma się napić na drogę? — zapytał.

— Bo przysięgł, że pić nie będzie — odparł gospodarz. Anglicy wyrzucają nam, żeśmy pijacy, a choć oni sami są opojami, jakich równych świat nie widział, niemniej chcemy im pokazać, że kłamią, jak wszystko, co o nas głoszą, i z tego powodu żaden gospodarz domu w naszym mieście nie przyjmie do usług swoich tego, który nie wykona przysięgi na wstrzemięźliwość. Pat przysięgł jak inni: nie wolno mu jest w domu moim, ani pokosztować żadnego gorącego trunku.

— Wystudzę go — odparł biedny paddy, smętnie żartobliwym głosem, a że stał właśnie na progu bramy wjezdnej, posunął się krokiem dalej, czyli po za obręb domu surowego gospodarza i już miał spełnić droch - am - durass, ale ten go uprzedził żywym wykrzykiem. — Pat! zawołał — nie dopuszczaj się krzywoprzysięstwa... Czy nie pamiętasz, jako było: — Tak mi Boże dopomóż, jak nie będę pił nigdy ani w domu, ani za domem chlebobdawcy mego...

Ale Patowi małe oczy zabłysnęły wesoło. — Ani w domu, ani za domem! zawołał i stanawszy w postawie kolosa Rodyjskiego jedną nogą w bramie, drugą już na placu, spełnił kielich duszkiem.

Tankred śmiał się serdecznie, ale gospodarz przybrał twarz poważnie smutną. — Nieszczęśliwy! zawołał — czy nie wiesz, że wszystkie nędze, wszystkie cierpienia Irlandyi pochodzą z naszej niewytrwałości, z naszej lekkomyślnej natury? Dla braku woli hartownej, dla małoduszności naszej nosimy dziś jarzmo Sassenachów na karku. Czy nie tak, nie tak mówił wam O' Connor.

Tankred podskoczył na siodle — O' Connor... zawołał — czy on tu bywa? Ale gospodarz spojrzawszy znacząco w oczy Tankreda i nie nie odpowiedział. Ktoś z ulicy wchodził wtedy w bramę i stał dla niego to gospodarz pałacu Króla O' Donaghue stał się nagle mileczącym. — Nie wiem, czy jest to dobry przewodnik dla Waszej Cześci — rzekł tylko po chwili, wskazując na Pata. — Należy zastanowić mi się nadtem i chybaby przysięgł raz drugi...

— Przysięgnę — zawołał chłopak — przysięgam już, że nie tknę się ani kieliszka, ani szklanki przez całą drogę z tym dobrym panem, przez całe życie nawet! O! człowiek ma przecież duszę i nie chce być podobnym do psa. Ale nawet i psu Irlandzkiemu miła jest ta ziemia.

Było to wymowione w tak głęboki w tak wzruszający sposób, że Tankred uczuł prawie łzy w oczach. Ścisnął się z gospodarzem za rękę i wyjechał zadumany. — Dziwny kraj — szeptał — szczególny kraj... Nie ma takiego drugiego na świecie, takich ludzi, takiego życia...

Ale nagle obejrzał się i zawołał w sobie radośnie. — Mój kochany opiekun spóźnił się... Poczciwiec myśli pewno, że podjadłszy, trochę pochrapię, potem pójde się gapić po mieście, a tu przekona się, że ptak wyleciał z gniazda i już go nie dogoni.

(Dalszy ciąg nastąpi)